Uwaga: połączyć z relacją Anny M. i Marii Sambor

Archiwum Wschodnie 68

Stanisław Małachowski

ARCHIWUM WSCHODNIE

Nazywam się Stanisław Jaksa-Małachowski, urodzony 9 maja 1933r. we wsi Turówka w woj. tarnopolskim na Podolu. Pamiętam dni, które nastąpiły po wybuchu wojny, która była zaskoczeniem dla dorosłych, wśród których panowała wówczas duża nerwowość. Najbardziej mi się utrwaliły dwa momenty: po pierwsze - tłum uciekinierów, który tą właśnie częścią Polski zmierzał do Zaleszczyk - do ówczesnej granicy Polski i ~~przez nasz majątek~~ i w naszym majątku zatrzymywały się ogromne ilości i cywilów i wojskowych, które zmierzały w tamtym kierunku. Wówczas jeszcze ten ruch ludności nie charakteryzował się ani żadnym popłochem ani żadnym tragizmem. To co zapamiętałem to nastrój jakiego. entuzjazmu: my tu zaraz wrócimy i zrobimy porządek. Drugi moment - to samoloty 17 września, ~~/o dacie tej oczywiście później się dowiedziałem/~~. Pamiętam te lecące samoloty i zaraz potem Rosjan, którzy w znanych nam z wielu opisów strojach i uniformach wkroczyli. Samoloty były oczywiście rosyjskie - transportowe, lub bombowce. ~~Zobaczyliśmy te~~ (samoloty siedząc z bratem na orzechu i zrywaliśmy orzechy. ~~i z tego drzewa oglądaliśmy te klucze samolotów. lecące na zachód~~. Był to zapewne jeden z elementów tej inwazji. Wojska wkroczyły wkrótce potem - pamiętam dokładnie te spiczaste czapki rewolucyjne i autentycznie - karabiny na sznurkach. A później przyszedł już czas bardzo nerwowy; wyrzucenie z majątku, gwałtowny wyjazd do rodziców mojej matki, a stamtąd znowu do Tarnopola. Odbywało się to już w atmosferze i strachu i rozpaczy i ze świadomością, że wszystko się zostawia i prawdopodobnie to wszystko, co się zostawia to już zginie bezpowrotnie. Nie pamiętam, kto nas wyrzucał, pamiętam tylko jakieś mundury i ogromną awanturę o to, gdzie jest ojciec /ojca wtedy z nami nie było/. O ile wiem ojciec brał udział w kampanii wrześniowej, a potem się ukrywał. W czasie rewizji odnaleziono niektóre stare mundury ojca - jeszcze z I-ej wojny światowej, znaleziono szablę kawaleryjską i wszystkie inne akcesoria - części składowe umundurowania i uzbrojenia, które były w domu . Natychmiast więc stało się jasne, że ojciec (lub mężczyzna), który jest w domu - jest wojskowym - i nie ma go teraz. Nie wiem jaki był przebieg rozmów matki z nimi. Z Turówki wyjechaliśmy do majątku Czernielów - do moich dziadków, a z Czernielowa do Tarnopola. Był to chyba przełom września i

października. W Tarnopolu musieliśmy się rozdzielić, bo było nas sporo: moja matka z trojgiem dzieci i w ciąży, oraz rodzice mojej matki. W Tarnopolu zajechaliśmy do rodziny mojego ojca, tzn jego matki, która mieszkała z dwiema córkami: Janiną i z ciocią Nisią - osobą prawie niewidomą ale niesłychanie opiekuńczą wobec otoczenia. Moja matka zamieszkała z Tadziem w wynajętym mieszkaniu, Anusia u matki mojej matki, a ja - będąc od dzieciństwa pupilkiem swojej babki Ludgardy Małachowskiej - zamieszkałem u niej. Ojciec wrócił późną jesienią, ale nadal się ukrywał, nie wychodził na ulicę i unikał wszelkich kontaktów. Trwało to do 10 grudnia, czyli do dnia, kiedy przyszli w nocy po ojca. Odnoszę wrażenie, że ojciec był przygotowany do tego aresztowania, bo jak nastąpiło to nocne - typowe dla tamtych czasów - łomotanie do drzwi, to ojciec był ubrany. Oczywiście aresztowanie zostało poprzedzone rewizją, wszystkie dzieci też musiały wstać ze swoich sienników, które leżały na podłodze /mieszkanie było niezbyt obszerne i już częściowo zarekwirowane przez oficera radzieckiego/, staliśmy z moim bratem pod ścianą z rękami podniesionymi do góry. Po rewizji zabrali ojca i był to ostatni z nim kontakt. Później przychodziły tylko jakieś wiadomości od niego. Z opowiadań matki wiem, że ostatnia iwadomość od ojca bezpośrednia była z Charkowa. Przez jakiś czas był na pewno w więzieniu w Tarnopolu, później właśnie z Charkowa, który był znany jako punkt rozdzielczy do innych miejsc docelowych. Wymieniało się wówczas trzy miejscowości: Katyń, Kozielsk i Starobielsk. Później otrzymywaliśmy jakieś wiadomości o ojcu bardzo okrężną drogą - ale już do Kazachstanu. Matka nigdy się nie zwierzała skąd pochodziły te wiadomości i jakiego są rodzaju, nie dawała po sobie poznać co przeżywa. Była zawsze niesłychanie pogodna i starała się tylko jakoś nas przy sobie utrzymać. Pamiętam, że do ostatniej chwili wszystko robiła, żeby tylko te dzieci wyżyły. Wszystkie informacje zachowywała dla siebie - przypuszczam, że chciała nam zaoszczędzić tych przekazów i rozmów na temat swoich planów i przeżyć.

Wracając do Tarnopola w 39r. - następnym wydarzeniem było urodzenie naszej najmłodszej siostrzyczki Jadwisi - w noc sylwestrową z 39/40r. Tak rozdzieleni mieszkaliśmy do 13 kwietnia. W nocy tego dnia przyszli w dwa punkty: do rodziny mojego ojca, czyli do nas i do mojej matki. I wtedy moja matka - nie chcąc rozdzielać rodziny - wzięła ze sobą również Anusię /która mieszkała u jej matki/. Matka trafiła widocznie na bardziej "ludzki" skład tych aresztujących, gdyż dali jej więcej czasu na spakowanie się i wzięła więcej rzeczy. Ze mną i z moją babką odbywało się to bardzo szybko: chcieli bowiem zabrać babkę i mnie - czyli najbliższe osoby mojego ojca. Ponieważ babka moja była już w zaawansowanym wieku, więc siostra ojca - Janina - dobrowolnie pojechała z nami, bo nie chciała matki samej zostawić i trochę na siłę zabrała się z nami. Ona zresztą spakowała trochę rzeczy, które zabraliśmy ze sobą. Jechaliśmy tym samym transportem, co matka, ale w innym wagonie. Ten rozdział zresztą utrzymał się w czasie całej drogi i jakiś czas później. Po 17 dniach jazdy odczepiali kolejno wagony w okręgu pawłodarskim i zostawiali kolejno na różnych stacjach, a później furami wywozili nas do różnych kołchozów czy sowchozów. W czasie drogi zatrzymywaliśmy się i wysiadali - dla potrzeb fizjologicznych, ale było to zawsze pod nadzorem strażnika. Nie pamiętam trasy, którą jechaliśmy. i warunków w jakich jechaliśmy, ani składu wagonu. Normalną rzeczą były codzienne modlitwy, śpiewy religijne i były panie, które to inicjowały. Tak naprawdę to dopiero w tym wagonie nauczyłem się Litanii na pamięć. W wagonie tym byli Polacy i Żydzi. W naszym wagonie była rodzina żydowska składająca się z matki i trzech lub 4 córek. Nazywali się Teiholzowie. Nie pamiętam, dlaczego oni właściwie zostali wywiezieni. W ich zachowaniu były odczuwalne cechy osobowości charakterysryczne dla tej rasy, tzn rozbieżności wyznaniowe, osobowość żydowska, którą jeszcze pamiętam z okresu przedwojennego, zwyczaj sposób mówienia itp. To wszystko było odczuwalne na każdym kroku w wagonie. Nie byli oni lubiani i cały czas była jakaś bariera; byli traktowani jako coś gorszego, a nie współtowarzysze - razem wywożeni. W naszym lub sąsiednim wagonie jechała rodzina pp. Samborów - on był kolejarzem z Tarnopola - był z żoną i dwoma synami. Później przez cały czas mieliśm

kontakt z tą rodziną.

Z Pawłodaru zostaliśmy przewiezieni furami) najpierw do kołchozu, gdzie mieszkaliśmy do późnej jesieni, a następnie do sąsiedniego sowchozu. I jedna i druga miejscowość była położona nad Irtyszem. Ten sowchoz nosił nazwę roboczą - Trzecia Ferma. Wszystko to było położone w powiecie, który nazywał się Żół Dżou-Kuduk - kazachska nazwa, która oznacza - Żółta Studnia /~~Czerwona Studnia,?~~, a Kizył-Sum - to była Czerwona Rzeka ~~Żółta Studnia~~/. Podobno, tam w czasie Rewolucji wrzucano tam zabitych ludzi, woda w rzece ~~studni~~ zabarwiła się na czerwono - i stąd nazwa. Ale to może być tylko legenda.

Tam mieszkali wyłącznie Kazachowie, jako główny trzon ludności. W niewielkiej ilości byli Rosjanie - wolni, i trochę Kirgizów. - z jakichś powodów też tam przesiedlonych.

W kołchozie mieszkaliśmy rozkwaterowani po domach kołchoźników i traktowani jako zło konieczne - jako dokwaterowani i nie można było nawiązać jakichś bliższych kontaktów. Te kontakty sprowadzały się właściwie tylko do handlu. Tam się sprzedawało właściwie wszystko - w momentach, kiedy brakowało jedzenia. Szło przede wszystkim złoto - obrączki, pierścionki, monety. Monety - to była zapłata najchętniej przyjmowana przez Kazachów, gdyż używali ich jako ozdób dla dzieci do narodowych strojów. Tam dziecko im więcej monet miało na szyi lub na stroju - zym było bogatsze i rodzina się szczyciła, że potrafiła dziecko tak bogato ubrać. Jak skończyły się monety, to poszły na handel kosztowności. i to jest fakt, że za złotą obrączkę dostawało się bochenek chleba.

W lecie 40r. moja ciotka nawiązała kontakt z moją matką - do tej pory byliśmy rozdzieleni.

B

Po pewnym czasie połączyliśmy się i potem byliśmy razem. Pamiętam, że moja matka chodziła po żywność, a ściślej mówiąc - po mąkę, - bardzo daleko. Chodziła tam z moim bratem i pamiętam dokładnie jak się odbywało przenoszenie tej mąki. Była jej większa ilość /z przydziału/ i było to za ciężko na jeden raz. Niosła to w dwóch pakunkach - jeden pakunek przenosiła paręset metrów do przodu, wracała po poprzedni, ten przenosiła dalej, wracała po poprzedni i tak się to odbywało. Było to napewno kilkanaście kilometrów.

Wtedy też po raz pierwszy spotkałem się z tym, że jeżeli nie ma mydła, to moja matka do prania robiła ług z popiołu: popiół zalewała wodą, to musiało trochę odstać i te składniki zasadowe zawarte w popiele wykorzystywała i prała wnich bieliznę. Naturalnie nie było to normalne czyszczenie bielizny, potym bielizna była szara, ale to w każdym razie tę bieliznę dx dezynfekowało. Najbardziej dokuczały pchły i pluskwy. Wszy też były. Tam też pierwszy raz zetknąłem się z tym, jak się Kazachowie przygotowują do zimy. i jak smażą bursaki - kulki w rodzaju pączków, tylko mniejsze. Te kuleczki były robione z mąki - nie na drożdżach i nie na oleju, tylko na ajranie. Ajran - to jest to, co u nas jest znane jako kefir lub jogurt, czyli było to mleko (krowie) kwaśne zakwaszane poprzednim ajranem: mleko się gotowało, studziło się je do temperatury pokojowej i zakwaszałopoprzednim ajranem, To mleko było zresztą bardzo smaczne i bardzo rzeźwiące w czasie upałów i charakterystyczne, że nigdy nie podchodziło serwatką, a starsze robiło się bardziej kwaśne i miało cechy drożdży: zaczynało wytwarzać w sobie jakiś gaz, rosło i na tym etapie fermentowania mleka używane było jako zaczyn do ciasta. Mąką z tym ajranem, zaprawianą niewielką ilością wody - wyrabiało się jak ciasto i to się smażyło w maśle. Masło nie było jedzone nigdy do chleba, tylko było zbierane do smażenia tych bursaków przez cały rok. - to był jedyny cel magazynowania masła. Ponieważ nie było warunków odpowiedniego magazynowania tego masła, więc było ono zjełczałe i niesmaczne, ale później przetopione - służyło - tak jak pączki - do smażenia bursaków. Po wystudzeniu bursaki te były sypane w worki, zawiązywane, umieszczane na strychu, czy gdzieś wysoko, żeby gryzonie się nie dostały, i służyły jako zapas pieczywa na zimę. Jak przychodziły mrozy, to na kość to zamarzało i starczało na zimę. Po rozmrożeniu smakowały jak bardzo czerstwy pączek. Drugą potrawę przyrządzano z serów: z odwarzonego ajranu robiono xxxy masę serową i z niej robiono w dłoniach takie "zgnioty" - ściskało się w dłoniach kawałek takiej masy i z tego wychodził taki jakiś podłużny kształt, z odciśniętymi palcami i liniami papilarnymi. Następnie to się suszyło na słońcu i było to straszliwie kwaśne - cytryna do potęgi trzeciej.
To też po wysuszeniu sypali do worków i zostawiali na zimę. Nie pamiętam

nazwy tej potrawy.

U nas główną potrawą były kluski, my my z bratem trochę się zabawiali łowieniem ryb, których było bardzo dużo, bo rzeki były czyste. Były też raki i tego można było nałowić w sposób nieskomplikowany niesłychaną ilość. To zasilało trochę nasze pożywienie.

Mama wtedy pracowała. Utrudnienia w tych kołchozach i sowchozach były dwojakiego rodzaju: wypas bydła i praca przy zbiorach. Niewiele tam było tych zbiorów i były one takie niekonwencjonalne: w Kazachstanie znacznie później wprowadzono powszechną uprawę zbóż, zwłaszcza pszenicy. Wtedy głównie uprawiano proso, trochę pszenicy, ~~xx~~ dużo słonecznika i dużo kartofli /?/. Olej słonecznikowy był, makuch był i przez następne lata - gdzieś gdzieś zdobywany - bardzo nas zasilał. Jedliśmy ten makuch jak najlepszą chałwę. Była też uprawa niektórych roślin okopowych: trochę ziemniaka, trochę buraka.

Po wyjeździe z tego kołchozu, gdzie była matka, a więc po połączeniu całej rodziny, a była to już późna jesień 40r., wszyscy Polacy zostali umieszczeni w sowchozie w baraku zwanym "cielętnikiem". Było tam ok. 10 lub 15 rodzin. Był to budynek przeznaczony do wychowu małych cieląt. Oczywiście nie był on przystosowany ani do warunków zimowych, ani do mieszkania, trzeba więc było palić i ogrzewać. wtedy właśnie wyszło nasze pierwsze niedostosowanie do tego klimatu.... W zimie pojawili się w naszym cielętniku uciekinierzy z łagrów lub z jakichś kopalń / z obozów pracy/, którzy uciekali do Polski. Nie było wtedy jeszcze żadnej armii polskiej. Z jakich obozów byli - nie pamiętam, ale szli oczywiście ze wschodu. Jak się dowiadywali, że są tu Polacy, jaka była ich organizacja - trudno powiedzieć, ale musiały tam działać jakieś kontakty, musiały wiadomości krążyć, bo trafiali do Polaków. Po paru dniach odpoczynku szli dalej.... Ja pamiętam kilkanaście osób w kilku grupach - głównie mężczyźni, ale były i kobiety. ~~głównie mężczyźni~~ Te ucieczki były w zimie. Obecnie nie mogę sobie uzmysłowić, jak w czasie tej ostrej zimy oni sobie wyobrażali przejście, ten marsz dalej, jak oni tego dokonali - tego sobie zupełnie nie mogę wyobrazić. Przecież tam burze śnieżne trwały kilka dni... widoczność była na kilka metrów, oczu nie można było otworzyć, wszystko się odmrażało....

To była zupełna beznadzieja....

Mieliśmy zresztą dowód tego sami, kiedy w czasie zimy zabrakło nam w cielętniku opału i żywności i jedna Żydówka - ta matka Teiholzowa - poszła, jak nas zasypało /nikt prócz niej nie chciał wyjść/, żeby przejść może 50, może 100 metrów - do budynku w którym była dyrekcja sowchozu, - i nie doszła do tego budynku, tylko do słupa telegraficznego, który był za tym budynkiem - już znacznie oddalony. Widocznie jednak pamiętała ten słup, zawróciła i w końcu nas uratowała, sama natomiast straciła dłonie, a właściwie wszystkie palce. Tak to było z tą Teiholzową - zawsze pogardzaną i źle traktowaną, a która jedyna zdobyła się na wyjście z baraku. Było to dla nas zbawienne, bo od razu zjawili się Kazachowie, którzy się poruszali w tej burzy śnieżnej z wrodzoną dla siebie wprawą, /dla nich to była rzecz zupełnie normalna/ i nas wszystkich powynosili z baraku - jak tłumoki - na plecach. Rozmieścili nas w tym budynku administracyjnym - w sali teatralno-widowiskowej, gdzie byliśmy jakiś czas. Po tym buranie ~~chyba wróciliśmy do tego cielętnika, ale nie jestem tego zupełnie pewien~~ umieszczono nas w chatach kazachskich. Nasza rodzina mieszkała wspólnie z Teiholzami - pamiętam jeszcze wojny przy kuchni. - o miejsce przy na kuchni.

Mama wtedy nie pracowała i w ogóle nie pamiętam, czy w zimie dorośli pracowali, a jeśli tak, to przy jakiej pracy. Z całą pewnością chodzili do odśnieżania i do tego typu prac publicznych, ale poza tym nic innego - poza karmieniem bydła - nie można było robić. Tak dotrwaliśmy do Wiosny 41roku . Z tego okresu pamiętam jedno wydarzenie, które jest może bardzo typowe dla ososbowości mojej siostry. Anusia w ramach swoich obowiązków rodzinnych wychodziła po mleko dla tej najmłodszej naszej siostr Kiedyś wracając przez taki stawek zamarznięty, czy dół z wodą, /skracając sobie drogę/ lód zarwał się pod nią, bo ~~lód~~ już był dość cienki, ona wpadła nogami pod lód i nie mogła sama wyjść. Więc wołała, wołała, wołała, w końcu usłyszeliśmy i pamiętam, że mój starszy brat wybiegł po nią i musiał ją odrywać od tego lodu, bo już zamarzała w nim. Ale charakterystyczne właśnie dla jej ososbowości było to, że mleka nie wypuściła - trzymała go w ręku i nie wypuściła. Później oczywiście było nacieranie,

rozcieranie, to się skończyło jakimś dużym przeziębieniem, ale jakoś wyszła z tego cało. To oczywiście był jeden z epizodów, takich epizodów było mnóstwo. Był to czas, kiedy jeszcze był kontakt z Polską, jeszcze był kontakt z krajem, z rodziną, przychodziły listy i przychodziły paczki, przy czym rodzina w kraju - trochę spełniając nasze prośby - a więc tych zesłanych, a trochę kierując się intuicją i własnym doświadczeniem - przysyłała nam artykuły dosyć trwałe, trudno psujące się. M.In. była słonina i mydło - jako artykuł jeden z najpotrzebniejszych. I ta słonina, a czasami i mydło, była przedmiotem nieoczekiwanych, czasem zabawnych kolizji z miejscowymi Kazachami, którzy wtedy jeszcze, a zwłaszcza starsze pokolenię, bardzo głęboko wyznawało swoją wiarę, tzn. islam i dla nich oczywiście wieprzowina było to coś zupełnie zakazanego i nawet niedotykalnego. Ale przy tym byli ciekawi i zawsze asystowali przy rozpakowywaniu paczek i jak tylko trafiali na słoninę, to była ogromna awantura i wrzaski i uciekali z tego pokoju, w którym się paczkę rozpakowywało. Nas to nawet trochę rozśmieszało, że oni tak gwałtownie reagują na to, co dla nas było zupełnie normalnym przedmiotem czy artykułem. A oni się tego po prostu bali jak ognia. Najzabawniejsze kiedyś było to, jak kiedyś jedna Kązachszka, złapawszy kawałek mydła do ręki / z takiego bloku zwykłego mydła do prania/ przeraziła się, że to jest wieprzowina i z okrzykiem: "czuszka, czuszka" /tzn. świnia/ rzuciła to mydło i uciekła z pokoju. W ten sposób uratowaliśmy ten kawałek od podziału, bo do tego dochodziło, że ci gospodarze uznawali, że powinniśmy się z nimi tymi artykułami dzielić. Zresztą takie były zwyczaje i czasami trzeba się było z nimi dzielić. Pamiętam również, że później, jak się zrobiło troszkę cieplej, po roztopach, przedmiotem mojego zainteresowania stał się cmentarz Kazachów - bardzo typowy. Dopiero wiele lat później uzmysłowiłem sobie ogromne podobieństwo tego cmentarza do cmentarzy, które widziałem w krajach arabskich, z tym, że oczyyiście nie ma tam porównania w bogactwie tych cmentarzy, w ich rozmiarze, np. z cmentarzami egipskimi /w Kairze - Miasto Umarłych/. W Kazachstanie natomiast każdy grób był jakby małym budynkiem bez dachu, a więc po prostu mury z wejściem. I to była mogiła. Często z siostrą i bratem zaglądaliśmy na te cmentarze, kie

rowani ciekawością jak się tych zmarłych tam chowa. Słyszeliśmy, że się ich chowa w pozycji siedzącej, ale nigdy tego nie stwierdziliśmy, nigdy nie byliśmy obecni przy takim pogrzebie, nie mniej ta odmienność tamtej kultury bardzo nas interesowała, - było to niesłychanie ciekawe. I jedno jest pewne, że istnienie tych cmentarzy, i właśnie takich, a więc islamskich, jeszcze raz potwierdzają to, że starsze pokolenie Kazachów było wierzące, aczkolwiek nie mieli świątyń, nie mieli swoich kapłanów, nie mieli naturalnie obrządku żadnego, tym nie mniej byli wierzącymi. Młodzi Kazachowie byli już zdecydowanie ateistami, czy z przekonania, czy w związku z tym, że przyniósł to czas i odpowiednie zmiany społeczne, ale tak było.

I tak przebiegała wiosna 41roku i wczesnym latem przyszło rozporządzenie, że należy nas przerzucić w inne odcinki syberyjskie, w inne odcinki ~~rejony~~ Kazachstanu. Jednak ta masa Polaków, która tam przeżyła już jedną zimę, została prawdopodobnie jako uznana za dostatecznie zaaklimatyzowaną siłę roboczą i trzeba ją było wykorzystać. I to już nie tylko w kołchozach, ale również na innych odcinkach tego życia gospodarczego.

I wtedy zaczęła się podróż. Z trudnością teraz przypominałbym sobie jaką trasą odbywała się ta podróż, jedno jest pewne, że byliśmy przewożeni samochodami skrzyniowymi, bez żadnych plandek. Samochody te były o tyle ciekawe, że były popędzane gazem /na tzw. Holzgaz/ wytwarzanym z drewna - proces wytwarzania gazu z drzewa następował w samym samochodzie: samochód był wyposażony w dwa ogrone kotły umieszczone po obu stronach kabiny kierowcy, tam było zarzewie jakiegoś ognia i do tego kotła ładowało się świeżo ścinane zielone, surowe drzewo w klockach. I to drzewo nagrzewając się i powoli, stopniowo ulegając spalaniu wydzielało ten niezbędny gaz.

II taśma

Samochody te - zamiast przy stacji benzynowej - zatrzymywały się w lesie, wychodził kierowca z pomocnikiem, ścinali najczęściej brzozy, bo chyba były najlepszym surowcem do wytwarzania tego gazu, cięli je na klocki i wrzucali do kotłów, chociaż zawsze mieli jakiś zapas drzewa w samochodzie.

W mojej pamięci zanotowałem, że jadąc stamtąd bardzo długo, dojechaliśmy do Omska. Byliśmy tam stosunkowo krótko, a stamtąd zostaliśmy przewiezieni do Jermaku położonego nad Irtyszem.

Pamiętam taki epizod, jak mama z Anusią wracały z Pawłodaru przez jakąś

zamarzającą topiel, czy bajora na stepie i potem opowiadały, że tak sobie szły i tak sobie ~~bojkiwały~~ z bólu i zimna ("pomiaukiwały") - tak to wtedy było powiedziane. W każdym razie musiało to być bardzo trudne, zarówno dla mojej matki, jak i siostry, która była wtedy małym dzieckiem. Jak to było z chorobą mamy, to w tej chwili nie bardzo pamiętam. Pamiętam natomiast, że mama pracowała w szpitalu w Jermaku - chyba jako jakaś pomoc szpitalna. Została tam zatrudniona nie wprost, tylko był to jakby dalszy ciąg choroby pawłodarskiej, w Jermaku też znalazła się w szpitalu i tam wykorzystano jej umiejętności. Moja matka była osobą niesłychanie aktywną, nigdy bierną i szczególnie chętnie pomagającą otoczeniu. I dla tego przekonano się, że, mimo iż była chora, udzielała pomocy wszystkim i innym chorym i przez jakiś czas później ją zatrzymano. Wiem również, że matka w tym właśnie szpitalu doznała przepukliny brzusznej - przy dźwiganiu jakiegoś chorego, co zresztą później rozwijało się, nie było leczone, operowane i było widoczne zupełnie wyraźnie - matka miała figurę taką, jakby była w ciąży., bo ta przepuklina spowodowała taką deformację brzucha. W Jermaku byliśmy z rodziną pp. Gierałtowskich, z którymi później mieszkaliśmy znowu w ostatnim naszym miejscu pobytu w Kazachstanie - w Atbasarze - w tym samym baraku. Rodzina ta składała się z matki i syna. Ona, o ile pamiętam, była żoną policjanta, syn był starszy ode mnie o ok. 2 lata miał na imię Ryszard. Cioci Janusi w tym czasie jeszcze w Jermaku nie było, została ona z tamtego sowchozu lub po drodze do Omska odłączona od nas i oddelegowana do innej miejscowości - do pracy albo w cegielni albo przy budowie kolei. Z ciocią Janusią połączyliśmy się ponownie dopiero w Jesilu. W Jermaku byliśmy więc z moją matką i matką mego ojca. Ja siedziałem głównie nad Irtyszem i uczyłem się przedziwnych sztuczek z łapaniem ryb. Sam się nauczyłem łapać ryby niewodem, na taką dziwną wielohaczykową wędkę - nie pamiętam jak się ten przyrząd nazywał, ale można było na niego nałapać wiele ryb. Napewno nie ciągnęło mnie do tego, żeby siedzieć przy dzieciach, przy rodzinie, nie myślałem o tym, że istnieje szkoła, że można się uczyć, sięgać do jakichś wiadomości. Był to jakiś przedziwny okres - może naturalny, może to była jakaś część mojej ogólności, ale najchętniej korzystałem z tego, co przynosiło otoczenie - jak najszersze otoczenie. Łaziłem po Jermaku i głównie siedziałem nad Irtyszem

(Szem

Bardzo mi wtedy pomagały opowieści o Jermaku; Jermak to był taki bohater - jeden ze zdobywców Syberii, który właśnie w tym miejscu utonął w Irtyszu i stąd miasto zostało nazwane jego imieniem. Był to jeden z tych dowódców wojsk carskich, którzy ujarzmiali, opanowywali Syberię. Jermak jest opisywany w historii Rosji i spotykany w literaturze. To była dosyć fascynująca historia, a opowiadali o niej Rosjanie, których w Jermaku było dużo, Było ich może więcej niż Kazachów. - miasto to leży w końcu na pograniczu Syberii i Kazachstanu. Wśród Rosjan byli ludzie, którzy byli tam już od pokoleń albo zostali skierowani w tamte strony już za czasów władzy radzieckiej - do rozwoju gospodarki, rozbudowy, zasialania..., a trzecią grupą byli Rosjanie, którzy dostali się tam już w czasie wojny. W tej ostatniej grupie byli Rosjanie przewiezieni z terenów zagrożonych przez Niemców, np. byli leningradczycy, byli mieszkańcy Ukrainy i Białorusi..... Jeśli chodzi o wybuch wojny niemiecko-radzieckiej to był to moment, który mi się niczym nie utrwalił w pamięci. - w odróżnieniu od tego, czym była wiadomość i data zakończenia wojny. Natomiast wraz z wybuchem wojny niemiecko-rosyjskiej natychmiast urwała się korespondencja i paczki od rodziny z Polski. Poza tym fakt wybuchu wojny był przyczyną naszego kolejnego przeniesienia - właśnie do Jesilu, gdyż wtedy gwałtownie wzrosła potrzeba budowy nowych linii kolejowych, gwałtownie zaczęto je uzbrajać w stacje, w parowozownie, kotłownie itd. i wszystkich tych, którzy mogli być przeniesieni - przewieziono na do tych punktów. Miejscowością do której nas przewieziono był Jesil. Tam natychmiast wszyscy dorośli i starsza młodzież została zapędzona do roboty przy budowie linii kolejowej. Oczywiście praca odbywała się metodami bardzo tradycyjnymi - wszystko ręcznie, żadnego umaszynowienia, a więc - znane z obrazków filmowych, a dla nas z autopsji - ręczne przenoszenie szyn kleszczami /taką technikę oglądamy dzisiaj na westernach ze starych czasów/. Tam były takie same kleszcze, takie same młoty do wbijania gwoździ - tzw. kastyli, tak samo były układane podkłady, takimi samymi narzędziami były te podkłady podbijane tłuczniem - więc technika absolutnie ta sama.

Dotarliśmy tam w lecie 41r. Przy budowie kolei pracowała matka i ciotka. Była to ciężka praca, napewno ponad siły ludzkie, tym bardziej kobiece, a tam głównie kobiety to robiły, bo mężczyzn tam prawie nie było. Ci, którzy tam się znajdywali to byli to albo Kazachowie, albo Rosjanie i naturalnie był to nadzówr, a więc nigdy nie występowali jako siła robocza. Ja nie pamiętam takiego obrazku, żeby wśród tych dźwigających szyny był jakiś mężczyzna. Większość mężczyzn poszła do wojska, a ci, którzy zostali byli na stanowiskach nadzorczych.

W Jesilu zaczęło się harcerstwo. Ja się tym nie tylko bardzo przejąłem i bardzo się w to zaangażowałem, ale się w pewnym sensie wyspecjalizowałem. W Jesilu była dosyć duża grupa Polaków, a w tym bardzo dużo młodzieży - bardzo dużo chłopców, mniej więcej naszych rówieśników. Starsi z nich, a więc ci, którzy mieli kontakt z przedwojennym harcerstwem, organizowali już nie tylko regularne drużyny z zastępami, z planem pracy, z wszelkimi zajęciami, ale ponadto towarzyszyły temu bardzo duże aktywności zabawowo-sportowe. Jedną z konkurencji sportowych, bardzo chętnie organizowanych i chętnie oglądanych przez miejscowych Polaków i Rosjan było coś w rodzaju biegu z przeszkodami. Jedną z najtrudniejszych przeszkód w tym biegu był płot. Ale to nie był taki zwykły płot, tylko płot, który chronił tory kolejowe przed zaspami śnieżnymi. Stał on na wysokości mniej więcej 3 do 4 metrów, zbudowany z ogromnych słupów z podporami, słupy były grubości naszych słupów telegraficznych, a samo pokrycie płotu stanowiły poprzecznie (poziomo!) wbite deski i po tych deskach się cudownie wchodziło, jak po drabinie - i to była jedna z przeszków. Wchodziło się po tych deskach jak po pionowej drabinie, między deskami były szpary szerokości desek. Pamiętam jeszcze, że preferowana była technika biegu taka, aby nie oddychać ustami tylko nosem, tak że niektórzy uczestnicy biegu, nie chcąc naruszyć tej zasady, kneblowali sobie dosłownie usta chusteczkami, żeby tylko nie oddychać ustami. To był bardzo ciekawy obrazek - biegnący chłopcy z białymi kulami w ustach z chusteczek. Do harcerstwa należał kto chciał. Odczuwałem tylko zawsze gradację wiekową, ale inne - ze względu na pochodzenie, czy z innych powodów - nie. Jeżeli były jakieś różnice wynikające z tych innych względów, to przejawiały się

tylko w jakichś drobnych konfliktach, których ja nie xxxxxxxxxx odczuwałem. Natomiast był to okres organizowania się i życie w bandach. Różnie to było: Polacy byli czasem razem, czasem z Rosjanami, zależało to od okoliczności. Była tam bowiem stacja kolejowa, był kołchoz i było osiedle robotnicze. I zależnie od konfliktu, jaki się rodził między tymi grupami,młodzieży, to te grupy odpowiednio się łączyły. A więc były xxxy wojny między tzw. miastem a stacją, lub między miastem a kołchozem, xxxxxxdzy a stacja się opowiadała albo po jednej albo po drugiej stronie. Te wojny, jak na tę grupę wiekową, miały dość ostry charakter - tam w robocie były i mocne pałki, pręty metalowe, ale xxxxxxxxxx najczęstszą bronią były kastyle - czyli gwoździe, którymi się przybija szyny do podkładów. Ja nawet miałem taką"przyjemność" dostać w łeb takim kastylem i to dość groźnie, bo w skroń, tak że blizna mała pozostała do dzisiaj. Ale szczęśliwie się zakończyło jakimś oszołomieniem. To mnie jednak pobudziło do energicznych kroków, tzn. okropnie się uciążyłem na tej grupie ~~- a była to grupa kołchozowa~~, ze str. 18 Drugą charakterystyczną cechą pobytu w Jesilu był kontakt z rzeką- Iszimem, przy czym xxxxx rzeka od Jesilu była oddalona o parę kilometrów. Przez rzekę przechodziła linia kolejowa łącząca chyba Akmolińsk z Semipałatyńskiem. Życie skupiało się wokół tej rzeki i linii kolejowej. Rzeka dawała ryby i raki, robiliśmy długie, nawet całotygodniowe wypady nad rzekę - było to nie tylko przyjemne i bogate w przeżycia, ale i owocne, bo się przynosiło coś do jedzenia. Wtedy się nauczyłem łapać szczupaki"na oczku" - dzisiaj tego nikt nie robi, być może jest to uznawane za kłusownictwo., Zresztą nie ma takich warunków, żeby szczupaka łapać na oko. Polega to na tym, że szczupak w ciepłej wodzie, silnie nasłonecznionej, stoi bez ruchu tuż pod powierzchnią i trzeba mu wtedy za skrzela przeciągnąć pętlę zaciskającą się, zrobioną ze szczeciny końskiej - wyrwanej oczywiście koniowi z ogona, co też było groźne i trudne- jak takiemu koniowi dobrać się do ogona. Zresztą tych koni było tam stosunkowo mało, tak że był to bardzo drogi, bardzo cenny surowiec. Takie oczko z włosia końskiego na wędzisku trzeba było bardzo delikatnie przeciągnąć przez łeb szczupaka poza skrzela, później szybko szarpnąć- do góry i ryba zostawała w pętli. To chyba był najwyższy stopień

pień wtajemniczenia - umieć szczupaka złapać na pętlę. Ja chodziłem nad rzekę ze swoimi rówieśnikami. Tadzio raczej trzymał się domu, bo wydaje mi się, że już wtedy prawdopodobnie odczuwał chorobę i nie czuła się na siłach i nie chciał się do tego przyznać. I może to wpływało, a może inne usposobienie - myśmy się tak różnili usposobieniem jak ogień i woda. Ale w harcerstwie Tadzio był starszy i wodził prym. - on był wodzem i ja mu tego bardzo zazdrościłem. Coś musiałem robić lepiej niż inni i wtedy nauczyłem się robić lilijki harcerskie. Robiłem je z puszek od konserw, psując bardzo skutecznie nożyczki matce. Wycinałem z puszki kształt lilijki, następnie wyginałem ją odpowiednio, tak że ona miała bardzo prawidłowy wygląd. Zresztą taką lilijkę własnej roboty przypiąłem Tadziowi na koszuli - już po jego śmierci, tuż przed pogrzebem. Umarł i został pochowany z tym jedynym osiągalnym symbolem harcerskim, jaki tam był.

Linia kolejowa nad rzeką też była życiodajna, mianowicie, pociągi jadące tą linią kolejową, wiozące węgiel, musiały zwolnić przed mostem i to było miejsce, w którym trzeba było z tych węglarek zrzucić jak najwięcej węgla. Im więcej węgla zrzuciło się, tym więcej było zapasu na zimę. Wracając jeszcze do pierwszej zimy spędzonej w cielętniku, myśmy tam potrosze tak przymarzali, a nawet zamarzali w tym cielętniku, bo zupełnie nie wiedzieliśmy jak się do zimy przygotować. Nawet paromiesięczne obserwacje miejscowych Kazachów nie dały nam właściwego doświadczenia. Kazachowie nie mieli węgla, lub mieli go bardzo mało, palili kiziakiem - czyli nawozem krowim przerobionym. Świeży nawóz zbierało się, wrzucało do dołu, mieszało się ~~z dołu~~ nogami ze wszystkim co się dało palić i robiło się z tego brykiety - i tego myśmy nie umieli robić i nie mieliśmy oczywiście opału. A w Jesilu już wiedzieliśmy, że trzeba się do zimy przygotować, że zima jest ostra i długa- że jest to klimat kontynentalny i stąd była ta kradzież węgla.

Był jeszcze trzeci powód, dla którego ta trasa do rzeki była dla nas bardzo ciekawa, Mianowicie, trochę w bok od tej trasy - linii kolejowej - były w stepie solanki i w nich była zawsze najlepsza kąpiel. Były to głębokie naturalne dosyć głębokie, nigdy nie wysychające, o tak silnym zasoleniu, że każda z trzcin, które tam rosły, miała wianuszek z kryształków soli. Te kąpiele były dlatego takie korzystne, że wszelkie skaleczenia, czyraki, których było mnóstwo, po takiej kąpieli goiły się bardzo szybko. Były to wi-

kąpiele lecznicze, dezynfekujące bardzo skutecznie. Ja miałem skłonności do chorób płucnych, stwierdzone jeszcze przez lekarzy przed wojną, zresztą zawsze przed wojną byłem taka "ofiara bez kości" - cherlak pod każdym względem. Np. jak wszyscy skakali gdzieś koło młockarni, to ja skoczyłem nie na słomę tylko na kocie łby, a jak wszyscy zmarzli i zamokli, to byli zdrowi, a ja się przeziębiłem i uznany byłem za cherlaka. Podobno zagrożenie suchotami było takie, że lekarze dawali mi tylko jeszcze parę lat życia i nie było żadnego ratunku, stąd rodzice wywozili mnie w Karpaty w każdą jesień. Jeździł ze mną zawsze Tadzio, żebym nie był sam. Natomiast w Kazachstanie, chyba dzięki temu, że klimat kontynentalny jest suchy, więc gruźlica, czy choroby płucne nie były znane. Tam istniały tylko dwie choroby dróg oddechowych: odmrożenie płuc i to, czego świadkiem nie byłem, ale znam z opowiadań dorosłych, mianowicie - tzw. galopujące suchoty. Była to choroba gardła, która od momentu zarażenia powodowała w tamtych warunkach zgon w ciągu kilku tygodni. Zapadali na to dorośli, dzieci na to nie chorowały. Odmrożenie płuc też praktycznie było nieuleczalne, przynjamniej w tamtych warunkach. Było to zapalenie płuc w wyniku odmrożenia płuc. Ci, którzy nie potrafili wyczuć w którym momencie należy zasłonić usta i nos - ręką, czy rękawicą, aby to mroźne powietrze było przefiltrowane i ogrzane, to odmrażali płuca. Choroba ta panowała powszechnie zimą 41r. Na wspomnianej trasie z Jesilu do Iszimu w stepie rosły krzaki kolczaste - nie pamiętam nazwy - myśmy je nazywali krzaki cukierkowe. Była to roślina przez nas poszukiwana i brutalnie wyrywana i niszczona, dlatego, że miała szalenie słodkie korzenie, do tego stopnia słodkie, że myśmy te korzenie suszyli, cięli na plasterki i jedli albo handlowali jak cukierkami. Były tam też rośliny, które z ukraińska nazywaliśmy "perykotykoły" -tzn takie turlające się po stepie, powszechnie znane na stepach ukraińskich, które rosną, następnie po dojrzeniu i uschnięciu przybierają kształt ~~takiego~~ delikatnego kulistego krzewu ~~xxxxxxxxxxxxxx~~ o wymiarach od piłki futbolowej do bardzo dużej piłki dziecięcej. Potem, po uschnięciu, najlżelszy ~~xxxx~~ wiatr łamał te łodygi i one się toczyły po stepie setkami, tysiącami - to były niesamowite widoki- bo widać było taki tabun bez kurzu toczący się z wiatrem.

Inne wspomnienia z życia w gromadzie wiążą się z okresem, kiedy angażowaliśmy się do prac polowych. Po prostu całe grupy młodzieży szły albo na wykopki buraków czy ziemniaków, albo na cinanie słoneczników, czy też zbioru innych płodów rolnych. To było trochę dla zarobku, a troszkę jako przygoda. W tej naszej gromadzie ktoś rzucał hasło, że można sobie tam za darmo pojeść, można coś zarobić, i tszliśmy całą gromadą piechotą, ileś tam kilometrów. Tam się mieszkało w różnego rodzaju szałasach i szopach i - do roboty. Poza tym, próbowali nas zapędzać do szkół rosyjskich. Bardzo mały procent chodził do tych szkół, ale ja też jakiś czas chodziłem - przez całe trzy dni!. Nawet dano mi chustkę pionierską i byłem pionierem i w momencie, kiedy pionierzy, w tym ja i ja, dostawali skarpetki, to więcej się do szkoły nie pokazałem. Dlaczego dzieci polskie nie chodziły przeważnie do szkoły?. Otóż, te rodziny, które swoje dzieci posyłały do szkół rosyjskich, były izolowane przez resztę Polaków. Następowało pomówienie o bojkot polskości, to był opór. Zarzucano osobie, która posyła dziecko do szkoły rosyjskiej, brak patriotyzmu, ruszczenie się, używano różnego stopnia epitetów i określeń. W każdym razie, suma wrażeń jest taka, że uznawano absolutnie za obowiązek patriotyczny nie chodzić do szkoły rosyjskiej. Były naturalnie próby uczenia nas po polsku, ale nie było książek, nie było podręczników, to co było, to było bardzo przypadkowo zabrane, ale wiele pań urządzało coś w rodzaju kursów czy lekcji. To było organizowane cichcem, w tajemnicy przed Rosjanami i przed sąsiadami rosyjskimi, a więc te spotkania odbywały się wieczorem, miały nawet zaprogramowany taki porządek, że w razie czego to jest zabawa, więc na podorędziu były i karty i stroje, jakieś inne zabawki i pozorowano wtedy zabawę. Te starsze osoby próbowały nas, dzieci, w różny sposób zachęcić do rozmawiania, do interesowania się różnymi sprawami - przez zabawy, przez konkursy- przez śpiewy, naukę wierszy polskich. Ale takich regularnych lekcji, systematycznych, nie udawało się zrobić. Były to rodzaje kusrów, których zajęcia odbywały się doraźnie. Resztą trudno było wtedy o systematyczność, bo właśnie ~~tych~~ dorośli, którzy chcieli nas czegoś nauczyć - pracowali od świtu do nocy na roli, więc niewiele tego czasu było.

W niedziele też pracowano, bo to wojna, bo to ~~front~~, wszystko dla frontu więc nie było dni wolnych, nie było za dużo wolnego czasu.

Pierwsze wiadomości o tworzeniu się armii polskiej przyszły wczesną wiosną 42r. Pamiętam, że w tym czasie tworzona była ewidencja wywiezionych Polaków. ~~Kursr~~ Kursował po tych miejscowościach fotograf, który robił zdjęcia wszystkim pełnoletnim, takie zdjęcie mojej matki zachowało się zresztą do dzisiaj, i mojej babki też, były wtedy wydane paszporty z tymi zdjęciami - paszporty rosyjskie z adnotacją o obywatelstwie polskim. I wtedy przyszła wiadomość o tworzeniu się wojska polskiego. Ja tego dokładnie nie pamiętam - ten fakt nie utrwalił się w mojej pamięci. Pamiętam natomiast fakt, że moja matka pisała do Andersa z prośbą, aby starszego brata - Tadzia - przyjął do Szkoły Junaków, która to Szkoła Junaków była zorganizowana przy Armii Andersa. Przyszła zgoda, ale niestety w dzień lub dwa po śmierci Tadzia, po pogrzebie. Wtedy moja matka natychmiast napisała do Andersa ponownie, ale już w mojej sprawie - żeby mnie przyjął. do Szkoły Junaków, mimo, że ja jeszcze nie miałem tego wymaganego wieku. Odpowiedź przyszła również pozytywna, tylko że już po wymarszu Andersa. Trzeba pamiętać o tym, że list wówczas szedł w jedną stronę w granicach dwóch - trzech miesięcy, a więc obrót korespondencji tam i z powrotem musiał trwać parę miesięcy. Tadzio zmarł w lipcu 42 r., mamusia pisała pod koniec lipca drugi list i ten list został prawdopodobnie zwrócony /jest obecnie w posiadaniu rodziny - przyp. red./, Do Armii Andersa wyjechało sporo osób, m.in. synowie p. Samborowej - obaj się dostali do Armii, chociaż jeden z nich nie miał pełnych kwalifikacji zdrowotnych /Krzyś/, bo w czasie pierwszej zimy odmroził nogi i miał amputowane palce - dużo palce u nóg. Mimo jednak tej ułomności został przyjęty i obaj wyszli z Andersem. Kobiety też wyjechały, ~~nie pamiętam dziś nazwisk.~~

W Jesilu przez jakiś czas mieszkaliśmy w wagonach kolejowych, zamim dostaliśmy się do baraków. Wtedy (41 r.) matka dostała wiadomość, że mój ojciec nie żyje. √ (zu str. 23)

Zjawisk przyrodniczych tam było wiele. Pierwszy raz takie zjawisko nigdy przedtem przez nas nie oglądane, było jeszcze na 3-ej Fermie . - przed tą burzą śnieżną, w cielętniku. Była bardzo mroźna, wyjątkowo bez-

wietrzna noc i wtedy były trzy księżyce. Oglądaliśmy to co najmniej jak jakąś kometę, albo inne tego rodzaju dziwne zjawisko. Był ten zwykły, normalny księżyc, a po obi jego stronach, w pewnej odległości były jakby dwa jego lustrzane odbicia - nieco słabsze, które nie miaąy naturalnie jasnych czystych zarysów, a ponadto, przez ten księżyc właściwy przechodził taki świetlny krzyż i właśnie na bocznych końcach ramion tego krzyża były te dwa odbicia. Drugim ciekawym zjawiskiem było to, co Anusia nazywa fata-morganą, a co nie było fata-morganą tylko było w czasie dużego mrozu i bezwietrznej pxxxxxx pogody i słonecznego dnia - przybliżenie obrazu bardzo dalekiego istniejącego przedmiotu (czy miejscowości) oglądaliśmy wieś , chodzących po niej ludzi, kolory okiennic, wieś - odległą o 20 czy 30 km - taka była odległość do tej sąsiedniej miejscowości. Oglądany obraz był nad linią horyzontu, a nie na niej - nad takim pasemkiem powietrza nad horyzontem. Trzecie zjawisko, które pamiętam z Atbasaru, również w czasie dużego mrozu i również przed burzą śnieżną, to były dwa słońca. Działo się to o wschodzie,. Ja z baraku szedłem zawsze do pracy na zachód i zobaczyłem przed sobą słońce, obejrzałem się do tyłu i też zobaczyłem słońce. Można to też tak wytłumaczyć, że zmrożonym powietrzu, które tym razem nie stworzyło soczewki, tylko coś w rodzaju lustra i to wschodzące słońce twxxxxxxxxxx odbijało się w warstwach ~~powietrza~~ zmrożonego powietrza.

3 kaseta

Wracając do problemu "band" młodzieżowych. Wśród band młodzieżowych była grupa polska i dwie grupy rosyjskie: grupa osiedlowo-miejska i grupa młodzieży spoza miasta pochodząca ze wsi i kołchozów. Kontakty między tymi grupami miały różny charakter. Czasami były to wspólne wyprawy, np. na ryby, na wyrzucanie węgla z jadącego pociągu /akcje kradzieży węgla/ i jego magazynowania, wspólne wyjścia do różnych robót polowych /do których młodzież była angażowana i zachęcana przez władze/. Ale jeżeli doszło do jakiejś różnicy poglądów na cokolwiek, np. na fakt, że trzeba iść prawą a nie lewą stroną, lub że trzeba iść rano a nie wieczorem, to wtedy solidaryzowała się ze sobą wyraźnie grupa Polaków, a grupa Rosjan zawsze była razem. Te wojny, te potyczki odbywały się często na ciekawym tle. Przytoczę przykład zaopatrywania się w zbożu /w ziarno/. Oczywiście kradliśmy to ziarno, bo nie było innego sposobu. Odbywało się to tak:

ziarno w czasie zbiórki omłotów było wywożone samochodami do silosów umieszczonych w pobliżu stacji kolejowej. Były to samochody skrzyniowe, otwarte. Charakterystycznymi punktami ich drogi były zakręty przed stacją i przejazd kolejowy. technika kradzieży była taka, że każdy z nas miał przygotowany czerpak, tzn. coś w rodzaju woreczka z drutem-rączką na górze. Tam, gdzie samochód stawał, trzeba było wskoczyć na tylną burtę, zahaczyć się jedną ręką o burtę, a drugą ręką zagarnąć tym czerpakiem swoją porcję zboża. Ponieważ samochody jeździły stosunkowo rzadko a chętnych do tego skakania było dużo, to oczywiście była konkurencja i powód do potyczek. Były one bardzo różne: my Polacy wojowaliśmy z Rosjanami, ale kiedy nam włazili za bardzo w drogę ci z kołochozów, to wtedy Polacy łączyli się z Rosjanami z Jesila-osiedla i tamtych zwalczaliśmy wspólnie żeby sobie jak najwięcej wyrobić miejsca do kradzenia tego ziarna. Potyczki te przenosiły się potem nad rzekę dlatego, że jeśli ~~konflikt~~ konflikt nie został załagodzony to ci z kołchozów, spoza Jesila, czekali na nas nad rzeką i tam dostawaliśmy od nich baty i trzeba było uciekać do miasta. Taka pogoń trwała nieraz kilometrami - przez step, z kluczeniem, chowaniem się za krzaki, w solankach, czasem z wskakiwaniem do jadącego pociągu. Nie można jednak powiedzieć, że były to stałe konflikty między Rosjanami a Polakami. Kryteria podziału na grupy były płynne. Pewne jest, że te ciężkie warunki, w których jedna i druga młodzież tam bytowała, były tak odczuwalne, że to czasami łączyło. Wśród Polaków nie było konfliktów, czasami tylko ktoś komuś nawymyślał "od pochodzenia" że ten jest maminsynek, a ten policjant, jeszcze inny - kolejarz, ale nie było to powodem wyraźnych rozdźwięków.

~~Natomiast~~ Wyraźnie wyszydzane przez Rosjan było harcerstwo. Nie potrafili go zrozumieć. Byli przejęci własną organizacją pionierską, która nie przewidywała w swym programie takich zajęć, jakie miało harcerstwo: tam nie było musztry, nie było ćwiczeń, podchodów, gier i zabaw. Nie było to naśladowane, ale właśnie wyśmiewane i wyszydzane. Z tego powodu musieliśmy wchodzić również w konflikty. Jedyną rzeczą, która była wśród Rosjan popularna to były zawsze zawody sportowe.

W Jesilu była tylko jedna apteka, toteż w przypadku zachorowań stykaliśmy się tylko z tą apteką. Lekarze byli, ale na poziomie najgorszego felczera. Byli to miejscowi Rosjanie i Kazachowie pełniący podrzędniejsze funkcje. Leków było mało. Najczęstsze choroby to były: czerwonka i oba rodzaje tyfusu /z powodów higienicznych: wszy, brak wody, brak mydła, niedomyte naczynia itp./. Zaraza przenosiła się szybko, zwłaszcza w lecie. Na te choroby nie było sposobów ani lekarstw. Stosowano tylko domowe sposoby łagodzenia choroby; ogromnie poszukiwany przy czerwonce i tyfusie brzusznym był smalec, który stwarzał pewną osłonę w przewodzie pokarmowym. W lecie pito wywar z piołunu albo nalewkę na piołunie /o ile można było dostać alkohol/.

Nasze organizmy były osłabione i wygłodzone. W zimie mieliśmy warzywa tylko w postaci kiszonej lub solonej kapusty albo solonych zielonych pomidorów, które zresztą zawsze były zmrożone. W lecie największym powodzeniem cieszyła się cebula, czosnek i kradzione kawony. Mimo przypuszczeniom nasze organizmy były jednak zasilane, gdyż np. mąki nigdy nie przesiewaliśmy - jedliśmy ją "na razowo", jedliśmy ziarna zmielone na żarnach razem z otrębami i to nam dawało dużą porcję witamin.

Kazachowie pieką, zwłaszcza w polu, bardzo smaczne i ciekawie przyrządzane placki. Robią je z mąki rozrobionej surowym krowim mlekiem, następnie rozwałkowują ciasto na placek grubości ok. 2cm, kładą go na żeliwną patelnię /bez rączek i uszu/, przykrywają drugą patelnią i wsadzają do żaru z kiziaku. po pewnym czasie placek wyciągano z tego żaru i robił się z niego podpłomyk doskonały i smaczny tak, że można było za niego oddać każde bogactwo. Te podpłomyki pieczone w kiziaku między dwiema patelniami były szczytem marzeń każdego, kto znalazł się gdzieś na pastwisku pomagając Kazachom w wypasie bydła.

Lato 42r. było dla naszej rodziny bardzo tragiczne, bo w ciągu 3 tygodni, w lipcu, zmarły trzy osoby. Pierwsza zmarła najmłodsza siostra Jadwisia, która miała wtedy 21. i 7 mies. Jest to cudowny wiek, w którym dziecko już rozmawia, już szczebiocze, już zaczyna być samodzielne, już

jest myślące. Jadwisia była ulubienicą wszystkich. Była to cudowna, mała blondyneczka z niebieskimi oczami... Zmarła na dezynterię. Nie było szans żadnych. Później zmarła matka mojego ojca, w tydzień po niej zmarł Tadzio. Tadzio jednak zmarł na serce. Kłopoty sercowe zaczęły się wczesniej. Okazuje się, o czym ja wówczas nie wiedziałem, że miał on wrodzoną wadę serca. Pamiętam, że 13-letniemu Tadziowi, który pomagał w domu i w lesilu unikał wycieczek, chodzenia na rybyit p., puchły jak bania nogi. Ja nie umiałem wtedy docenić stopnia zagrożenia dla życia tej dolegliwosci. Tylko matka się dokładnie w tym orientowała. Zdaje się, że w tamtych warunkach nie było dla niego ratunku. Był to zresztą wśród tamtejszych Polaków jedyny przypadek, że chłopak zmarł na serce, a nie na choroby zakaźne. Matka moja znosiła te straty z wielkim bohaterstwem. W ciągu 2 tygodni stracić dwójkę dzieci - to trudno sobie wyobrazić. Musiały to być bardzo ciężkie chwile....

W Jesilu zacząłem na dobre robić zabawki z drewna i nawet było z nich trochę zarobku. Wycinałem z drewnianych deszczułek pajacyki, które na drucikach miały przywiązane ręce i nogi, do nich było przymocowane specjalne rusztowanko, które się naciskało i wtedy kombinacja odpowiednich połączeń sznurkami powodowała, że pajacyk fikał sobie, tworząc różne śmieszne pozycje. Nie pamiętam od kogosię tego nauczyłem - gdzieś to zobaczyłem. Przydały się wtedy zachęty sprzed wojny mego ojca, który sam był niesłychanie zdolny i miał duże zdolności manualne. Ojciec był bardzo dokładny, precyzyjny, a widać to było zawsze na ołówkach: ojciec był mistrzem w ostrzeniu ołówków. Ołówki były zaostrzone jak lanca i osadzone wszystkie w szklaneczce ze śrutem myśliwskim. Zdolności ojca i jego zachęty doprowadziły do tego, że obaj z bratem chętnie pracowaliśmy na małym dziecinnym stole stolarskim. Wyrobione wtedy umiejętności pozwoliły mi na wykonywanie szybko i sprawnie tych pajacyków, różnego rodzaju sztyletów i noży z drewna. Wszystko to było malowane glinkami, które zbierała i dobierała kolorami Ania. Trzecią zabawką były miniaturki szabel i mieczy robione z drutu miedzianego. Na ten pomysł wpadłem przez przypadek, mianowicie zobaczyłem jak pociąg jadący rozwalcował na szynach kawałek metalu.

Układałem więc na szynach odpowiednio wygięte kawałki drutu i czekałem na pociąg, pociąg przejeżdżał, a ja zbierałem gotowe półfabrykaty. Później obrabiałem sobie to wszystko na kamieniu.

Poza tym w Jesilu nauczyłem się robić haczyki na ryby. Trzeba było mieć drut stalowy, który się wyciągało z lin holowniczych. Najtrudniejszym elementem do wykonania był tzw. zadzior, czyli haczyk. /tu: opis "techniki wykonania haczyków - t. III A/- przyp. red./. "a te haczyki łapaliśmy ryby, których w Jesilu było dużo różnaitych gatunków.

Poza tym interesowało mnie to wszystko, co robili cieśle. A w Jesilu budowano domy z drewna. Do dziś podziwiam umiejętność cieśli rosyjskich, którzy są fenomenalni jeśli chodzi o ten zawód. To są mistrze nad mistrzami, potrafią zwyczajną siekierą i tylko siekierą cuda robić z drewna. Drewno było przywożone. Jedynym materiałem, który był na miejscu wykonywany - to była cegła. W cegielniach byli również zatrudniani więźniowie. Cegielnie były zakładami tylko z ręczną pracą i ci, którzy tam pracowali ogromnie narzekali. Wracali wyniszczeni okropnie - pracą w mokrej glinie i to przez cały rok, również w zimie, później było wypalanie przy piecu, zmienne temperatury, to było strasznie ciężkie. Kończyło się zapaleniami stawów, mięśni itp. W Kazachstanie budowano i z drewna i z cegły. Budownictwo to miało swoje specyficzne cechy: w oprawie okien, w okiennicach, ale głównie w małych domach. Natomiast te domy, których budowie ja się przyglądałem, to były budynki 1-no i dwu-piętrowe - wielomieszkaniowe. Były tam elementy murowane, jak piece, kominy, ale ściany i konstrukcja budynku były drewniane. Dachy były kryte papą. Drugi rodzaj budownictwa to były domy z cegły - na ogół komunalne /szkoły, urzędy/. Trzeci rodzaj to były do połowy zakopane w ziemi domki, które można nazwać ziemiankami a które miały charakter domów jednorodzinnych, a te, w których myśmy mieszkali - baraków. Zagłębienie w ziemi było bardzo różne - była to sprawa zwyczajów miniregionalnych. Były takie takie, które sięgały do dolnej krawędzi okna, były półmetrowe, były też takie, które stały na ziemi nie podpiwniczone a kostkami ziemi z darnią były okładane dla ocieplenia. Podłogi były z gliny, b. rzadko z drewna.

nast. 17.

Dowiedziała się o tym od kogos przyjezdnego. Mieszkaliśmy wtedy w wagonach i tam jakiś mężczyzna zostawił wiadomość dla matki. Wydaje się, że było to potwierdzenie tego, że ojciec był w którymś z tych 3 miejsc: Starobielsk, Kozielsk, Katyń, albo potwierdzenie, że ojciec nie żyje. Matka nam o tym nie mówiła.

Jesienią 42r. zostaliśmy przewiezieni do Atbasaru jako potrzebna tam siła robocza do budowy odcinka linii kolejowej. Tam zostaliśmy umieszczeni w baraku, w którym mieszkaliśmy z wieloma polskimi rodzinami do 44r. Pobyt w Atbasarze był to czas, w którym chyba /oprócz Jesilu/ najintensywniej interesowałem się tym, co robią dorosli - jak pracują. Tam własnie widziałem jak ciężko pracowały kobiety przy budowie linii kolejowej: to ręczne dźwiganie szyn kleszczami, ręczne podbijanie podkładów tłuczniem - to wszystko było szalenie trudne i ciężkie. Kobiety pracowały od świtu do nocy, nie mając czasu dla dzieci. Zarobki, jeśli w ogóle można mówić o pojęciu zarobków, były symboliczne. Pracowało się wtedy nie dla zarobków. Pracowało się dlatego przede wszystkim, że był przymus pracy - absolutny. I pracowało się również dlatego, że otrzymywało się kartki na art. spożywcze i inne. Te ilości z kartek były również symboliczne. Na kartki było wszystko - chleb, tłuszcze, mięso. Ubrania nie było w ogóle żadnego. Co najwyżej, było służbowe dla pracowników - waciaki i drewniaki - i to tylko w zimie. Nikt nie troszczył się o to, czy ludzie mają obuwie, czy nie. Ale dopiero tam okazało się, że drewniaki w zimie - to jest dobre obuwie, gdyż izolacja cieplna podeszwy była bardzo skuteczna. Ale z kolei przez te drewniaki było dużo różnych wypadków: były śliskie, miały sztywną podeszwę, więc człowiek poruszał się w nich jak w kajdankach.

Zarówno w Atbasarze, jak i w Jesilu, ta praca przymusowa była przerywana na budowach 2 razy w roku: na wiosnę na czas orki i siewów /koniec kwietnia/ oraz w czasie żniw, do których byli wyganiani wszyscy. Do orki i siewów szły głównie maszyny, natomiast do żniw byli zapędzani ludzie.

Charakterystyczna była praca, której obraz do dziś pamiętam: po przejściu żniwiarki /kombajnu/ zostawało na polach bardzo dużo nie skoszonych kłosów. I do zbierania ręcznie tych kłosów - bez sierpów, bez niczego, - byli zmuszani ludzie. Kłosy albo się wyrywało albo ścięte - zbierało. Wrzucało się je na fury czy samochody i to szło do omłotów. Pamiętam, jak kobiety i młodzież zbierający kłosy ustawiani by li w tyralierę i ta tyraliera posuwała się po polu. Tyralierę nadzorował ktos w rodzaju karbowego, który popędzał do roboty dosłownie batem - długim batem, typowym dla Kazachów / na krótkim trzonku osadzony bat długości 2, 3, a nawet 4m/. Normalnie służył on do popędzania zaprzęgów bydlęcych - fur zaprzęganych w woły, przy czym woźnica siedzący na furze, mając przed sobą 3 pary wołów, musiał tym batem sięgnąć do przedniego wołu. Kazachowie zresztą po mistrzowsku operowali tymi batami. i również po mistrzowsku używali bata na te kobiety i dzieci zbierające kłosy. Moja matka była też raz dotkliwie pobita. Pamiętam zdarzenie, które zakończyło się buntem - wojną między obsługą rosyjsko-kazachską a Polakami zapędzanymi do tej roboty. Kiedy już zbyt wiele razy Polacy oberwali, to kilku młodych chłopców /starszych ode mnie/ zbuntowało się. Było to w czasie przerwy obiadowej, kiedy to podawano posiłek na miskach. Chyba któremuś z naszych chłopców nie dano nic twardego /stałego / do tej zupy - dostał tylko samą wodę. Zbuntował się i zakończyło się to dużym biciem - poszły w ruch kamienie, widły, kłonice. kazachowie zostali wtedy dotkliwie potłuczeni natomiast cała grupa Polaków wróciła do Jesilu i więcej się do tej pracy nie stawiła. Nie umiem powiedzieć, czy to miało jakieś następstwa o charakterze dyscyplinarnym, czy jakas władza w to wkraczała, ale pamiętam, że do tego kołchozu więcej nie byliśmy wysyłani. Przypuszczalnie ten surowy Kazach, który batem tak sobie "dokazywał" musiał być skarcony i odebrano mu siłę roboczą.

W Atbasarze też było jesienne zbieranie kłosów i innych plonów. To były całe wyprawy, nie tylko moje, ale i Anusi, która chodziła dziesiątki kilometrów na pola kawonów, prosa i pszenicy, gdzie się te kłosy zbierało.

Ziarna pszenicy były mielone na żarnach, natomiast proso było w całosci gotowane - wychodziła z tego taka kasza jaglana bardzo ciężka do jedzenia, bo ziarna prosa są bardzo twarde i ostre; to nie było zbyt smaczne.

W Atbasarze, w baraku, nauczyłem się jeszcze 3 rzeczy: robić na drutach, szydełkiem i prząść wełnę wielbłądzią lub owczą. Przędło się tam na zwyczajnym wrzecionie. Starałem się obserwować jak robią to kobiety kazachskie i nawet te nici na swetry wychodziły mi zupełnie zgrabnie. To były zajęcia zimowe - wtedy, gdy już nie można się było ruszyć poza barak.

W zimie, w czasie kradzieży węgla byłem kilka razy złapany, dostałem kilka batów, byłem trochę postraszony, że zostanę uznany za szpiega lub dywersanta, ale dzisiaj, patrząc na to z persepktywy czasu, wiadomo że nic takiemu 11-letniemu chłopcu nie mogli zrobić. T Oni też byli ludźmi, którzy ~~xixxxyxx~~ mieli w sobie coś ludzkiego, więc jakies pewne granice istniały i zostałem wtedy wypuszczony.

Generalnie z opałem było bardzo trudno, więc jak nie było już nic, to odbywało się niszczenie płotów osłaniających tory przed zaspami śnieżnymi. A to już było cięższe przestępstwo. Węgiel wożono wtedy nie oblany wapnem, nie znaczony, więc czy go było mniej czy więcej to nikt tego nie dochodził. Natomiast drewna nie było w stepie dużo, trzeba było je przywozić. Drewno było bardzo cennym elementem opału i jak się ~~xxxyxtkoxxkończyło~~ wykorzystało wszystkie możliwości, jak nie było gdzie zbierać trzasek, jak stolarnia była zamknięta /bo nie było prac ciesielskich/ i pilnowana przez strażnika, to trzeba było w nocy wychodzić do tych płotów, a właściwie wysokich drewnianych ścian i tam po kawałku odrywało się deski. Jak złapano kogoś na tym procederze, to dawano duże kary, bo było to traktowane nie tylko jako kradzież, ale jako niszczenie prawie że obiektóe strategicznych.

Kradli wszyscy - i Polacy i Rosjanie - tam się nie dało bez kradzieży żyć. To był warunek przetrwania.

W Atbasarze, na samym początku, doznałem chyba najdotkliwszego odmrożenia. Wcześniej miałem odmrożenia palców rąk i nóg, ale pierwsza zima w Atbasarze - z 42/43 r. - kosztowała mnie odmrożenie twarzy. W czasie burzy śnieżnej poszedłem z garnkiem po obiad do stołówki, która była odległa od baraku o 200-300m. W czasie burzy śnieżnej ludzie starali się wychodzić grupkami, żeby osłaniać się przed wiatrem i nie zabłądzić. Kiedy wracaliśmy wtedy z obiadem wiatr zerwał mi czapkę z głowy, ja nie chciałem puścić garnka, żeby złapać czapkę i doszedłem bez czapki do baraku. Byłem już półprzytomny z zimna i dopiero w baraku otrzeźwił mnie straszliwy krzyk mojej siostry. Okazuje się, że cała moja twarz była pokryta skorupą lodu. Skończyło się to silnym nacieraniem śniegiem /przez matkę i ciotkę/, tak że natarty śniegiem i ręcznikami nie zachowałem żadnych śladów. Następne odmrożenia były trochę gorsze - zostawiły ślady.

W odległosci ok. 4km od stacji był Stary Atbasar nazywany Miastem. Sama nazwa - Atbasar - oznacza "koński bazar" lub rynek. Jak opowiadali Kazachowie, w tej części Kazachstanu kiedyś koczowali i hodowali duże stada koni Kazachowie i w tym właśnie mieście odbywały się doroczne targi końskie - dosyć słynne na cały Kazachstan. Oczywiście w czasie, kiedy myśmy tam byli, to została sama nazwa, koń już tam prawie nie był znany. W grudniu 43r. matka moja zachorowała na dezynterię. Została zabrana do szpitala w Atbasarze-Mieście.

IV t. A

Odwiedzałem matkę w szpitalu kilka razy. Wtedy właśnie staraliśmy się z ciotką o słoninę dla matki. Robiliśmy ze słoniny smalec, który jako lek dostarczaliśmy w malutkich ilościach do szpitala, aby jakoś złagodzić jej cierpienia. Ostatni raz byłem w szpitalu tuż przed Bożym Narodzeniem. Zaniosłem słoiczek smalcu... Pamiętam, matka była wtedy ogolona /golono głowy wszystkim chorym w szpitalu, żeby nie dopuścić do wszawicy/. Matka wyszła do mnie na korytarz. Ja jakoś wtedy bardzo szybko uciekłem - tak jakbym się wstydził trochę wyglądu matki... Trochę nie

wiedziałem jak się znaleźć w tych okolicznościach.... I to był ostatni raz, kiedy widziałem matkę. Później przyszła wiadomość ze szpitala, że matka zmarła, czyba w Wigilię Bożego Narodzenia. Ciotka zajęła się pogrzebem. Trudno wtedy było znaleźć ludzi do pomocy, trzeba było ich jakoś zorganizować. A wykopanie grobu w zmarzniętej ziemi to była strasznie ciężka praca, trzeba było kopać kilofem. Ciotka jednak znalazła jakąś pomoc i matka została pochowana w tej zmarzniętej ziemi. Pomagała przy tym p. Mar Maria Samborowa.

Po śmierci matki ciocia pracowała nadal na kolei. Na początku lutego 44r. wróciła któregoś dnia z pracy przemoczona i przeziębiona i już z silną gorączką. Tego samego dnia wieczorem straciła przytomność i bredziła. Było to bardzo silne przeziębieni, połączone z ogromnym przemęczeniem i przechłodzeniem organizmu. Na drugi dzień ciocia została zabrana do szpitala. Zabrano ją saniami, a ja opatulałem ją na drogę. Nikogo z nas do szpitala nie chcieli zabrać. Zmarła w ciągu 3 dni. Wiadomość o śmierci ciotki przyszła ze szpitala przyniesiona przez kogos przypadkowego... Był kolejny pogrzeb... Tym razem musieliśmy sami z Anusią organizować pogrzeb. Przy samym pogrzebie nie byliśmy. Była burza śnieżna. Ludzie, którzy starali się nam pomóc /ale nie byli to Polacy, tylko Rosjanie i kolonisci niemieccy/oraz służba szpitalna/ pochowali ciotkę. Cmentarz był przy starym mieście Atbasarze - dla wszystkich oprócz Kazachów, którzy mieli swój własny cmentarz.

Wiadomość o śmierci ciotki zapisała się smutnym akcentem - nie tylko fakt śmierci. Jak przyniesiono tę wiadomość do baraku, to nastąpiła wtedy rzecz, z którą się do dzisiaj nie mogę pogodzić. Współmieszkańcy baraku a byli to tylko Polacy, bardzo solidarnie natychmiast, bez żadnej zwłoki podzielili między sobą wszystkie rzeczy, które zostały po naszej rodzinie. To było coś potwornego. Zostały zabrane absilutnie wszystkie przedmioty, wszystkie rzeczy. Było to takie... zwierzęce... Nie wiem, czym się ci ludzie kierowali, jakimi odruchami i instynktami, ale była to rzecz straszna, która - zwłaszcza w świetle późniejszych naszych przeżyć - jest nie do wykreślenia z pamięci.

O śmierci ciotki i o tej sytuacji dowiedziała się p. Maria Samborowa, która mieszkała w innym baraku na drugim końcu osiedla Atbasaru. Po burzy śnieżnej przyszła i zabrała nas do swego baraku, wyrywając od tych współlokatorów trochę naszych rzeczy, tych, które jeszcze można było zidentyfikować. Myśmy byli z lekka nieprzytomni, wytrąceni z równowagi ale p. Samborowa coś odzyskała z naszych rzeczy.

I wtedy zaczął się następny okres, którego początkiem było ostrzeżenie mnie przez Rosjan o tym, że jeżeli nie zacznę pracować, to razem z moją siostrą będziemy zabrani do sierocińca rosyjskiego. Oznaczałoby to utratę obywatelstwa polskiego i przekreślenie szansy powrotu do Polski. Było to ostrzeżenie prywatne przychylnych ludzi - Rosjan.
W tym czasie nie było jeszcze sierocińców polskich. Sierocieniec polski, o ile dobrze pamiętam, powstał chyba później /ale jeszcze w 44r./ w Atbasarze-miescie, był zarządzany przez Polaków - pod auspicjami ZPP. W tym sierocińcu znalazła się później Anusia. Sierocińców rosyjskich było dużo, było masę sierot. W sierocińcu w Atbasarze były dzieci i z Leningradu, i z Białorusi, i z Ukrainy - z terenów zajętych przez Niemców. Z dziećmi z tych sierocińców kontaktu bezpośredniego nie miałem. Wracając do mojej pracy. Miałem wtedy niepełne 13 lat, a pracować można było od 14-go roku życia. Poszedłem z paszportem matki do przedsiębiorstwa budowlanego, w którym pracowała, chcąc uzyskać pracę. Powiedziano mi że jestem za młody, że gdybym miał choć rok więcej, to mogliby mnie przyjąć. Zrobiłem więc atrament z jodyny z dodatkiem sadzy i odrobiny nafty. Cała moja uwaga skupiona była na tym, żeby dobrać odpowiedni kolor . Paszporty były wypełniane wtedy nie atramentem, ale jakąś cieczą - coś pośredniego między jodyną a ~~jakimś~~ jakimś innym płynem. Zrobiłem ciecz, która kolorem przypominała kolor pisma w paszporcie, do jodynki dodałem półksiężyc i wyszło z tego zero. W ten sposób będąc urodzony w 1931r. okazałem się być urodzony w 30r. I potem ci sami ludzie, którzy mówili mi, że jestem za młody, jak obejrzeli po raz drugi ten sam paszport z innym rokiem urodzenia - powiedzieli: "teraz, to już jest wszystko w porządku, możemy cię przyjąć do pracy".

Zostałem przyjęty jako uczeń na budowę... Do dzisiaj nie mogę w sobie zatrzeć wspomnienia dwóch faktów: tego, że miejscowi Rosjanie zaakceptowali sfałszowanie dokumentu, inni przeciwnie ~~uprzedzali mnie~~ radzili mi co mam zrobić aby nie stracić obywatelstwa, podczas gdy Polacy, których tam było dużo, po śmierci naszej ciotki skupili swoją energię i uwagę na rozdrapaniu wszystkich naszych rzeczy /poza jedną p. Samborową/. Ja z tym "konfliktem" dwóch zdarzeń nie mogę się do tej pory pogodzić. Dlatego też uważam, że Polak, który się znajdzie w takich trudnych warunkach, na wygnaniu, musi być wielokrotnie wypróbowany, żeby o nim cos dobrego można było powiedzieć....

W pracy dostałem dokument, którego to faktu wówczas nie doceniałem. Dopiero po latach okazało się, że był to właściwe najcenniejszy papier jaki w ogóle można było mieć: była to mała książeczka z niewieloma adnotacjami dotyczącymi całego przebiegu mojej tamtejszej pracy zawodowej. Dzisiaj jest to dla mnie jedyny dokument rosyjski, którym mogę potwierdzić autentycznie i bez wątpliwosci, że byłem tam i pracowałem. Jedyną niescisłością w tej książeczce jest data urodzenia. Po jakims czasie pracy zdobyłem zawód i mam adnotację o zdobyciu uprawnień zawodowych spawacza. Nie mam innego dokumentu dotyczącego pobytu tam, gdyż paszport matki został zabrany na granicy przy powrocie do kraju. Dzięki tej książeczce mogłem sobie okres pracy od 44r. do maja 46r. zaliczyć do stażu pracy - jest to respektowane do dzis. A poza tym jest to pamiątka.....

Jak wspominałem, zacząłem pracować jako uczeń - od noszenia cegieł i jako pomocnik murarski. Cegły i zaprawę murarską nosiło się na plecach na drewnianych nosiłkach, po drabinie /"na piechotę"/. Budowalismy wtedy budynki kotłowni przy stacji kolejowej. Po niedługim czasie przeniesiono mnie na ucznia ślusarza i uczyłem się różnych dziwnych rzeczy. Tam, po raz pierwszy, zetknąłem się bliżej z kolonistami niemieckimi wywiezionymi na Syberię na początku wojny niemiecko-rosyjskiej. Byli to eks-koloniści wywiezieni z terenów nadwołżańskich i z nad Donu. Ludzie ci, mimo że od pokoleń mieszkali na terenie Rosji, byli tak silnie skonsolidowani, solidarni, że należałoby to uznać za duży plus dla nacji niemieckiej.

Imponowali mi w dużym stopniu. Ich niechęć do wynarodowienia, opór przed wynarodowieniem, były tak duże, że wszyscy mówili bardzo źle po rosyjsku. Pamiętam drobny, ale charakterystyczny fakt o tym świadczący: w stołówce pracowniczej była kelnerka, która nazywała się Tania. Niemcy, którzy tam pracowali i jadali zawsze zwracali się do niej - "Tania, taj łożka" - zamiast: "Taniu, daj łożku". Prawie każde słowo rosyjskie było źle wymawiane, z przydźwiękiem języka niemieckiego. U Niemców poza tym, nie widać było tej demoralizacji pracy. Pracowali solidnie i uczciwie, nie widać było tendencji do sabotażu pracy, który byłyby do pewnego stopnia zrozumiały i możliwy w sytuacji wojny niemiecko-rosyjskiej. Nie wiem, czy ci Niemcy nie umieli tego robić, czy już się tak czuli związani z tym krajem, ale w każdym razie pracowali solidni. Poza tym, ze wszystkich nacji - najmniej kradli właśnie Niemcy.

Niemcy byli świetnymi fachowcami, świetnymi rzemieślnikami. Blacharstwa, ślusarstwa, tokarstwa, kowalstwa - uczyłem się u Niemców. Wszyscy ci specjaliści potrafili robić cuda - tymi narzędziami i w tych warunkach, które tam były. Z kawałka aluminium w godzinę - Niemiec zwyczajnymi młotkami wykuwał papierosnicę w formie pudełka, z zawiasami, nie używając poza narzędziami kowalskimi i pilnikiem niczego. Nauczyłem się tam robić różne takie drobiazgi i być może dzięki temu zauważył mnie jedyny tam spawacz /Rosjanin/. Pomocnikiem jego był traktorzysta niemiec /traktor był potrzebny razem ze swoim kołem do napędu generatora/. Zostałem pomocnikiem spawacza. Moim obowiązkiem było cięcie drutu z dużego zwoju, prostowanie go i robienie z niego elektrod. Rozrabiałem pył kredowy z klejem stolarskim, każdy drut moczyłem w tej mazi, potem odpowiednio suszyłem nad piecykiem /"kozą"/ ze specjalnym rusztem i w ten sposób powstawały elektrody. Po jakimś czasie /3-4 miesiące/ zbuntowałem się i powiedziałem, że więcej drutu nie będę ciął i albo będę spawał albo sobie pójdę do innej roboty. Wtedy spawacz pozwolił mi sięgnąć do maski spawalniczej i zostałem w tej brygadzie już do końca.

Kiedy trafił na Syberię sprzęt amerykański, a więc: samochody, studebakery, willisy itp., to mój spawacz i nauczyciel /surowy, ale bardzo rzetelny i opiekuńczy/ doprowadził mnie do egzaminu rzemieślniczego, a sam przekwalifikował się na kierowcę, zostawiając mnie całą brygadę spawalniczą /miałem wtedy 14 lat/. Cały czas pracowałem na budowach pswając instalacje dla kotłowni, parowozowni, rusztowania itp. ~~Praca odbywała się więcej na wysokościach~~ Praca trwała okrągły rok - 8 godz. dziennie. Mieliśmy maskę na oczy, ale mimo to łapaliśmy tzw. zajączki, czyli złapanie przez oczy /nie zasłonięte maską/ błysku łuku elektrycznego. Wynikało to przede wszystkim z nieumiejętności operowania sprzętem. Ja miałem często te wypadki. Po pracy czasem nie mogłem trafić do domu - oczy były w tak silnym stanie zapalnym, że szedłem nic nie widząc, płacząc, pod powiekami czuło się piasek. jedynym lekarstwem na to były zimne okłady i z czasem to przechodziło. Później te "zajączki" też jeszcze mnie męczyły, zwłaszcza kiedy pracowałem na tzw. wysokościach - przy spawaniu stalowych konstrukcji budynków. Człowiek łaził tam po wąskich belkach, bez zabezpieczeń /nie stosowano ich tam/. Czasem trzeba było chodzić po rzuconych kształtownikach stalowych na dość dużej wysokości. W takich warunkach elektroda czasami trafiała w uziemioną konstrukcję, następował błyski łuku i to trafiało w oczy.

Zapałatą za tę pracę były właściwie kartki, bo pensja na nic wielkiego nie starczała. Moja pensja wynosiła początkowo 50 rubli miesięcznie, a pod koniec - 150 rubli. Pół pensji szło na obiady i wykup towarów z kartek. ~~Dodatkowe~~ Dodatkowe zaopatrzenie się w żywność na targu było niemożliwe, gdyż tam pud /= 16 kg/ mąki kosztował 2000 rubli. Trzeba więc było dorabiać. Dorabiałem w swojej brygadzie spawalniczej. Traktowany byłem w niej bardzo przyjacielsko i przyjemnie. Byłem najmłodszy i starsi koledzy natychmiast mi nadali przezwisko "maleńkij mużik". Moi starsi współpracownicy opiekowali się mną w różny sposób: dawali mi tytoń /paliłem już wtedy papierosy/, gazetkę, uczyli mnie różnych zwyczajów . Mimo tego, że trwała wojna i że była to Syberia, twardo była stosowana jedna

zasada: 50 min. pracy - 10 min. odpoczynku. Taka dyscyplina była zawsze utrzymana - bez względu na to, co się działo.

Ustawowo pracowałem 8 godz., w praktyce - dwie lub trzy zmiany. Zostawałem bowiem po swojej zmianie i z kolegami robiliśmy 2 rodzaje wyrobów: łóżka dziecinne i piecyki - tzw. kozy. To się robiło w tym samym zakładzie pracy, czyli była to dzisiejsza "fucha", na którą nikt tam nie zwracał uwagi. Łóżeczka dziecinne wymagały 2-3 dni pracy - aby te wszystkie pręciki, barierki pospawać, oczyscić, pomalować, kozy robiło się szybciej - z kawałka blachy. Produkty te sprzedawaliśmy z kolegami na bazarze. Łóżeczko i piecyk można było sprzedać w granicach 500-1000 rubli. W ten sposób mieliśmy pieniądze na dodatkową żywność - chleb, mąkę, mleko /mleko było w zimie sprzedawane w zażrożonych bryłach i można je było kupić na targu/.

Ja utrzymywałem siebie i Anusię /jeden pracujący i jeden tzw. wyżywieniec/, natomiast p. Sz[illegible]borowa sama się utrzymywała zarabiając szyciem na maszynie z Tarnopola, która jakims cudem przetrwała.

Siostra moja przychodziła na obiady do mnie do pracy, a jakis czys zmywała naczynia w stołówce. ten jeden obiad, który mnie się należał zjadalismy razem. Pracującemu należała się: jeden obiad i 600 g chleba dziennie - poza kartkami, na które można było kupić nieWielkie ilosci mąki tłuszczu i cukru. Osoba pozostająca na utrzymaniu otrzymywała 300 g chleba i mniejsze porcje na kartki. Początek mojej pracy przypadał na pierwsze miesiące 44r., kiedy UNRA jeszcze nie docierała, a więc było kiepsko; było źle z jedzeniem, źle z opałem, źle ze wszystkim. Radziliśmy sobie w ten sposób np.: kiedys przyszedł do mnie strażnik ze składu węgla - z połamanym metalowym kołem od wózka, zespawałem mu to koło, nie wziąłem żadnych pieniędzy i w ten sposób siostra miała otwarte "wejscie" do składu węgla. Przychodziła do mnie na obiad z plecaczkiem, a ponieważ koło mojej pracy były te hałdy węgla, więc po obiedzie ładowała plecak węglem i szła do domu. Strażnik w takich momentach zakładał karabin na pasek i szedł na drugi koniec magazynu, tak jakby tego nie widział. Później naprawiałem jakies kłódki i inne drobiazgi i za to

dostawałem od Kazachów kawałek mięsa, woreczek kaszy jaglanej itp.

~~Paczki UNRA zaczęły przychodzić dopiero tuż przed zakończeniem wojny.~~

Moja brygada pracowała cały rok przy budowie, natomiast w czasie orki, siewów i w czasie żniw jechaliśmy na pole, ponieważ w brygadzie był traktor. To było dla mnie Colorado, zwłaszcza orka /pozwalano mi kierować traktorem/. Orkę i siewy wykonywaliśmy kilkanaście kilometrów od Atbasaru w jakimś sowchozie. Wynalazłem tam sobie schowek w ziemi, w którym chowałem podkradzione z worków ziarno. Wracając w każdą niedzielę do domu /bo wtedy już można było mieć wolną niedzielę/ - przynosiłem worek z ziarnem i był to również duży zastrzyk żywności.

Paczki UNRA zaczęły przychodzić dopiero tuż przed zakończeniem wojny. W paczkach tych znajdowały się artykuły takie jak: świetna amerykańska margaryna, suchy groch, jajka w proszku, mleko w proszku. Artykuły te - adresowane do Polaków - przychodziły w większych ilościach w pojemnikach, a na miejscu odpowiedni komitet Polaków to rozdzielał. Polaków było tam wówczas ok. 500-600 osób. Darami UNRA sterował prawdopodobnie ZPP. Do Rosjan UNRA nie docierała. Natomiast paczki z kraju i z zagranicy - adresowane personalnie do nas - docierały do nas tylko w 1-szym roku pobytu w Kazachstanie. Otrzymaliśmy np. paczkę z Włoch nadaną przez panią contessę Sodarini. Paczka ta zawierała trochę ubrania, jedzenie - o ile pamiętam nie było. Ubrania były kiepskie, Kamasze, które ja dostałem, starczyły mi dosłownie na jeden deszcz. Sądzę, że były to tzw. buty pogrzebowe. Nie mniej jednak paczka ta sprawiła dużo radości i do dziś contessa Sodarini pozostała osobą, która nas obdarowała.

Artykuły z UNRA dostawaliśmy aż do powrotu do kraju. W drodze powrotnej na każdym przystanku wszyscy wychodzili i w swoich kociołkach dogotowywali sobie groch; przy każdym wagonie było kilka ognisk - było to i smutne ale i malownicze.

Po zakończeniu wojny przewalały się przez Atbasar olbrzymie transporty wojska, z którego część przydzielano na miejscu jako grupy robocze. Pierwsza "fala" przyszła w maju 45r., a druga po zakończeniu wojny japońskiej - ze wschodu. Od jednego z tych żołnierzy kupiłem ciepły szynel

wojskowy, z którego byłem bardzo dumny.

W maju 45r. Anusia poszła do sierocińca. Odbyliśmy przedtem długą naradę rodzinną. Było wtedy kiepsciuchno. Jedzenia było mało, nawet to zasilanie ziarnem niewiele pomagało. W Kazachstanie największy głód był nie na przednówku, ale wzimie, kiedy nikt z kołchozów nie odważał się wyjechać w step. Odległosci między miejscowościami były ogromne /30 -40 km/, nie było samochodów, jeździło się najczęściej wołami, więc pokonanie takiej odległości zajmowało najczęściej 2 dni. A jeśli kogos zaskoczyła w stepie burza snieżna to przeważnie nie trafiał do domu i na wiosnę odnajdywano tylko kości. Dlatego Kazachowie nie ryzykowali takich wypraw w zimie i dlatego zima była najgorsza, bo do miasta nie trafiały nawet te niewielkie zasilenia żywności. Ruch zaczynał się dopiero w czasie lub po roztopach, czyli przełom kwietnia i maja.
Na wiosnę 45r. nawet i to nie polepszyło naszej sytuacji żywnościowej. Zdecydowaliśmy się więc, że w sierocińcu siostra będzie miała regularne wyżywienie, będzie mogła zacząć się uczyć i zdecydowaliśmy się na ten krok. Było to przykre i bolesne, bowiem musieliśmy się rozstać... Wcześniej były naciski i namowy ze strony władz sierocińca, aby to osierocone dziecko otoczyć jakąś formalną opieką. Na początku, przez 2/3 miesiące nie poddawaliśmy się temu, ale w końcu zdecydowaliśmy, że tak będzie lepiej. Tak się wtedy wydawało. Natomiast rzeczywistosć była inna, niesłychanie przykra i niekorzystna w konsekwencji przede wszystkim dla mojej siostry Anusi. Jak się okazało, ona bardzo boleśnie odczuła po pierwsze - rozstanie, po drugie - w wyniku rozstania osamotnienie, po trzecie - wpływ złych warunków i opieki w sierocińcu. Czy to był wyjątek czy zbieg okoliczności - nie wiadomo. W każdym razie noe mogła się zaadoptować, przyzwyczaić, uczkolwiek była zdyscyplinowana, posłuszna i rzeczywiscie zaczęła się uczyć. Jednak coraz częściej zaczęły się opiekunki skarżyć, że Anusia ucieka... ucieka na cmentarz, ucieka na grób matki. Na grobie matki przesiadywała całymi dniami i to chyba zostawiło bardzo silny ślad na jej psychice.
Jej pobyt w sierocińcu trwał pół roku - do grudnia 45r. Miałem prawo

widywać się z siostrą - raz lub dwa razy na tydzień. A jeśli nawet nam nie pozwolono, to korzystalismy z dziury w murze i też widywalismy się Poza kierowniczką miałem kontakt również z innymi osobami z personelu i nie wyniosłem z tych kontaktów żadnego zapisu w pamięci pozytywnego na tyle, żeby kojarzył mi się z uczuciem wdzięcznosci, podziwu czy choćby sympatii. Musiało to być więc wyjątkowo nieprzyjemne. Przed Bożym Narodzeniem 45r. /wtedy, dzięki staraniom ZPP można było oficjalnie po raz pierwszy mówić, że jest Boże Narodzenie i Polacy mieli 2 dni wolne od pracy/ poszedłem do sierocińca i poprosiłem kierowniczkę żeby zwolniła na te dwa dni moją siostrę żebyśmy mogli być przez dwa dni razem. Pani Samborowa zrobiła wtedy pierogi z kapustą, wszystko było przygotowane, ale niestety p. kierowniczka nie zgodziła się. Ja się wtedy tak troszeczkę "porosyjsku" ukłoniłem - w pas, prawie do ziemi, następnie wyszedłem z gabinetu, Anusia szybciutko się ubrała i ucieklismy przez dziurę w murze. Poszlismy sobie do domu - ok. 4km, po skrzypiącym ładnie, zamarzniętym i zawianym śniegu. Przez Boże Narodzenie był spokój, a 3-go dnia, jak byłem w pracy to przybiegł z baraku 9-cio, 10-letni chłopaczek, Rosjanin i powiedział, żebym nie wracał do domu, bo tam czeka na mnie milicja. Okazuje się, że pani kierowniczka sierocińca- Polka - przyszła z milicjantem chcąc zabrać Anusię z powrotem. Ja wtedy nie wróciłem do domu, tylko nocowałem w pracy na stole warsztatowym / co mi się przedtem też zdarzało przy robieniu różnych fuch/. Anusię wybroniły mieszkanki baraku, zwłaszcza p. Samborowa i dwie rodziny rosyjskie. Działały bardzo energicznie i - zwyczajnie, po ludzku - p. kierowniczkę i milicjanta wygnały pogrzebaczami z baraku nie wydając Anusi. Było tam trochę gróźb, trochę wyzywań, że ja pójdę do aresztu itp., ale w końcu nie było żadnych konsekwencji. Urwał się po tym zdarzeniu kontakt całkowicie z sierocińcem i do końca była wroga atmosfera między paniami stamtąd a nami. Sporadyczne kontakty były jeszcze w czasie powrotu - w transporcie. Cały sierociniec zresztą jechał razem z nami - jako jednostka zorganizowana w tym samym transporcie /widziałem te dzieci/. Cały sierociniec

został skierowany na Ziemie Odzysakne, chyb na Ziemię LUbuską, takie przynajmniej były zamierzenia. Wagon z sierocińcem był znacznie oddalony od naszego, a transport był długi /kilkadziesiąt wagonów/, może to stworzyło opinię, że tych dzieci tam nie ma.

Na tym można by zakończyć historię, która przez p. kierowniczkę była określana jako "wykradzenie dziecka z sierocińca". Później ~~kwestja~~ Anusia została z nami. Przez pewien czas pilnowalismy jej nawet bardzo uważnie, gdyż podejrzewalismy, że ktoś z sierocińca zechce ją zabrać z powrotem. Może obawy te były nieuzasadnione, ale mielismy je.

V t.

Osobną kwestią wymagającą omówienia jest obecność w Kazachstanie innych nacji. Byli tam Niemcy z nad Wołgi i Donu, którzy zostali przesiedleni na początku wojny niemiecko-rosyjskiej albo trochę wczesniej gdyż z całą pewnością jakieś prewencyjne działania władze Zw. Radz. musiły podjąć i oczyscić sobie to przewidywane bliskie zaplecze frontu. W 1944r. pojawili się tam zupełnie nowi ludzie - dla nas prawie orientalni - dwa plemiona kaukaskie - Ingusi i Czeczeńcy. Z informacji pochodzących od nich i z wiadomosci podawanych oficjalnie wiem, że ludzie ci zostali zesłani za próbę zorganizowaniabuntu czy powstania przeciwko władzy radzieckiej - w czasie, gdy wojska niemieckie zbliżały się do Kaukazu. Była to próba uzyskania jakiejś samodzielnosci przez te plemiona na wypadek gdyby Niemcy tam doszli. Jest to pewna analigia z tym, co działo się z odłamem Ukraińców, którzy przeszli na stronę niemiecką poto, żeby sobie kupić autonomię - wolną Ukrainę. Ingusi i Czeczeńcy zostali w sposób gwałtowny i brutalny zlikwidowani przez władze sowieckie i tak jak my - wywiezieni do Kazachstanu. Ci mieszkańcy Kaukazu zostali przeniesieni z klimatu górsko-morskiego do klimatu skrajnie kontynentalnego stepowego. Przywieziono ich w zimie i wyładowano z pociągu na sanie. Przywieźli oni ze sobą zapasy kukurydzy w workach. Widziałem tę kukurydzę, bo przy brutalnym wyładunku z wagonów worki rozpruwały się i kukurydza wysypywała się na śnieg. Ludzie byli rozwożeni po domach i barakach

/ tu - opis urody i strojów/. Wszyscy oni mieli ogromne trudnosci mentalnościowe i psychologiczne z przystosowaniem się do środowiska i warunków. Nie uznawali głodu, faktu, że trzeba ten głód pokonać. Znane były wypadki, że w czasie głodu zbierało się 3 mężczyzn, kradli krowę sąsiadowi, a jeśli trzeba było komus nóż wepchnąć ~~xxxkxxy~~ to i przed tym się nie wahali. Oczywiscie kończyło się to natychmiastowym wykryciem sprawcy i uwięzieniem go. Przez te swoje gwałtowne, żywiołowe reakcje wykańczali się szybciej od nas. Marli jak muchy, znikali dosłownie w oczach i niewielu z nich zostało. Wszyscy oni musieli pracować - zarówno kobiety, jak i mężczyźni. W pracy często wybuchały bójki, bili się z nadzorcami, nie chcieli przychodzić do pracyi był to kolejny powód ich aresztowania /nieusprawiedliwiona nieobecność w pracy była traktowana jako sabotaż i kończyła się srogą karą. Nota bene ja też siedziałem w areszcie za taką nieobecność - w karcerze miejscowego posterunku. Ponieważ jednak byłem dość popularny i lubiany, więc bezpośredni zwierzchnicy szybko zatuszowali sprawę i po 3 dniach zostałem wypuszczony bez żadnych dalszych konsekwencji dyscyplinarnych.

Wiele lat później - w 1978r. wracałem z Chin samolotem. Nocowałem w tranzytowym hotelu Aeroflotu i tam z kolegą poszlismy na kolację. W restauracji nie było miejsc. Przy jednym ze stolików siedział sam człowiek o kaukaskich rysach w mundurze lotnika. Widząc, że szukamy miejsca zrobił w naszą stronę przyjacielski gest ręką - zapraszając nas do stołu. Oczywiscie skorzystalismy z okazji. On bez pytania zamówił dla nas karafkę koniaku bo uznał siebie za gospodarza stołu. W pewnym momencie rozmowy zapytałem go czy nie pochodzi z Kaukazu, gdyż ma taką urodę. Odpowiedział, że rzeczywiście jest Czeczeńcem. Opowiedziałem mu skąd znam czeczeńców i okazało się, że ~~kykxka~~ człowiek ten również był w Atbasarze. Wrócił do kraju po wojnie. Obecnie jest pilotem helikoptera pracuje na Kaukazie w służbie geologicznej. Opowiedział mi o swojej rodzinie, o tym, że w Kazachstanie sporo członków jego rodziny zostało pod ziemią, natomiast on wrócił. Jego brat został w Kazachstanie - ożenił się tam i mieszka w Atbasarze lub w okolicy. Próbowałem potem

kilka razy pisać do niego, ale nie dostałem odpowiedzi /były to lata 80-te/. Wniosek z tego, że część z nich - być może za jakies szczególne życiowe postawy - wracała do swego kraju, ale napewno niewielu.

Jednym z trudnych i głębszych dla mnie przeżyć była sprawa jeńców niemieckich, którzy tam też trafiali. Otóż pracując już jako zaawansowany pomocnik spawacza, zostałem skierowany razem z innymi brygadami budowlanymi do budowy obozu dla jeńców niemieckich. Był to regularny obóz: prostokąt otoczony wysokim drewnianym płotem, z wieżyczkami na rogach. W środku były baraki ze wszystkimi instalacjami, z cementowymi ławami. Budowa pryszniców i umywalni wymagała właśnie prac spawalniczych robienia całej instalacji hydraulicznej i innych metalowych konstrukcji Po zakończeniu tych prac, późną jesienią 44r. przywieźli pierwszą partię tych jeńców, potem kilka następnych transportów i obóz został szybko zapełniony. Nie wiem jakie stosunki panowały w środku obozu, jaka była dyscyplina itp., bo nie znałem języka niemieckiego. A kontakt był możliwy, bo Niemcy ci byli regularnie kierowani na wszystkie odcinki pr pracy. Jeńcy byli w mundurach. Za dzienną porcję chleba /600g/ jeden Niemiec dał mi portfel skórzany z węża lub z krokodyla /mam go do dziś/ Widać strasznie głodowali. Kilka dni później drugi Niemiec za taką samą porcję chleba dał mi niemieckie buty tzw. saperki. przypomniało mi to natychmiast jak to było z naszym handlem w pierwszym roku pobytu - ile myśmy płacili za kawałek chleba czy okruszynę innej strawy. A Niemiec od razu dał mi buty, owinął nogi szmatami i wrócił w nich do obozu a paradowałem w tych niemieckich saperkach, które były o wiele dla mni za duże, ale byłem z nich ogromnie dumny, bo nikt takich butów nie miał buty te jednak w zimie były nieprzydatne do tamtejszego klimatu, bo były za zimne.

Niemcy wytrzymali 1,5roku - potem wymarli. Nie wytrzymali ani klimatu ani dyscypliny - po prostu wymarzli. Prawdopodobnie obóz ten w zimie nie był opalany, albo bardzo słabo. Powstał tam taki cmentarzyk w pobliżu obozu. Zakopywali Niemców - "tak jak leciało "- jak umierali. Obóz został przed naszym wyjazdem zlikwidowany. Nowych partii nie przywożono.

Tak jak sobie przypominam, to nie spotkałem wśród tych Niemców przejawów jakiejś buty, dumy, buntu. Byli potulni, stłamszeni - wyeliminowano z nich absolutnie wszelkie wzniosłe cechy ludzkie, które normalnie każdy człowiek sobie gdzieś"za pazuchą" nosi. Byli po prostu zgnębionymi jeńcami, absolutnie przegrani - również psychicznie. Jedynym pozytywnym wyróżnieniem dla nich było tylko to, że szli do pracy i wtedy stykali się z wolnymi /w cudzysłowie/ ludźmi. Dostawali wtedycoś do jedzenia i tym jeńcom było lepiej. Chyba ci, którzy nie chodzili do pracy byli w znacznie gorszych warunkach. Ze strony ludności tubylczej nie było żadnych wyraźnych przejawów nienawiści. Myślę, że jest t ocharakterystyczne dla mentalnosci rosyjskiej. Przeciętny Rosjanin, zwłaszcza ten syberyjski, ma bardzo pozytywny charakter w mojej ocenie. Są to ludzie, którzy są bardzo solidarni, bardzo chętnie pomagają /nie mówię tu o administracji, tylko o zwyczajnym Rosjaninie"z ulicy"/. Byli z pewnością nauczeni w tym systemie, że tam, gdzie jest nieszczęście, to należy je zwalczać - nie człowieka czy narodowość, tylko nieszczęście. Zdarzały się takie obrazki, że obrzucano kolumnę jeńców niemieckich krzykami czy wyzwiskami wówczas gdy ich przywożono, bo przecież nawet w Kazachstanie nie było jednej rodziny, która by nie miała kogos na wojnie, a wielu zginęło. Więc w końcu ta nienawiść istniała, ale nie przejawiała się bardzo drastycznie.

W grudniu 45r. intensywnie pracowaliśmy z p. Samborową i Anusią nad zgromadzeniem zapasów żywności na drogę do kraju. Już bowiem od jesieni krążyły pogłoski, żebędziemy wracać do Polski. Nadzieje te powstały wtedy, gdy zaczęło działać ZPP. Koncentrowaliśmy się wtedy na dwojakim działaniu: na gromadzeniu dokumentów mających udowodnić, że się jest obywatelem polskim /w rozumieniu tamtejszych władz - było się obywatelem polskim/ oraz na organizowaniu i przygotowywaniu żywności. Tutaj Ciocia Muszka /p.Samborowa/ wykazała ogromny, prawidłowy instynkt. Mianowicie, ~~xxxix~~ zorientowawszy się co przychodzi w paczkach UNRA i pamiętając w jakich jakich warunkach jechaliśmy w tę stronę, zdecydowała, że najlepszym źródłem pożywienia będą suchary. I wszystkie nasze dochody /jej i moje/ szły na chleb kupowany na lewo i trochę na mąkę. Chleb ten był suszony i pa-

kowany do worków. Dzięki tej akcji wsiadalismy w końcu kwietnia 46r. do transportu z dużymi kilkoma workami sucharów. I to nas w czasie drogi ratowało. Suchary te służyły zresztą nie tylko nam, ale i sąsiadom z wagonu.

Przed wyjazdem mieliśmy jeden dokument - paszport matki, który zresztą trzeba było zwrócić jak nas kwalifikowano do wyjazdu albo na granicy. Wyjechalismy na początku maja 46r. Pamiętam, że radosne wolne dni z okazji 1-go maja - pierwszego po zakończeniu wojny - spędzilismy jeszcze w Atbasarze, ale już w wagonach. Wyjechaliśmy więc 2-go lub 3-go maja. Nie wszyscy Polacy wtedy wyjechali. Napewno zostali ci, którzy wtedy siedzieli w więzieniach. Jeden z Polaków, który był ze w części Żydem został dobrowolnie. Było to pewnego rodzaju szokiem dla naszej polonii. Był to zresztą człowiek, który otrzymał jakieś kierownicze, dość wysokie stanowisko w przedsiębiorstwie, w którym pracowałem. Możliwe, że był komunistą.

Zaczął się powrót. Ja osobiście przeżyłem wtedy coś dziwnego: przestałem być wtedy robotnikiem, przestałem zarabiać i wtedy wybuchły we mnie te wszystkie dotychczas tłumione odruchy mojego wieku, te wszystkie braki młodzieńczego czy dziecinnego dokazywania - wszystko to się wyzwoliło. Przejawiło się to tylko jako "wyszumienie się", a niestety nie jako chęć do czytania i pisania. Jeszcze w Kazachstanie p. Maria miała do mnie ogromne pretensje o to, że mimo nawiązanego kontaktu z rodziną w kraju - nie siadam do pióra, papieru i stołu żeby wysłać jakiś list. Dopiero zmuszany do tego załatwiałem tę psrawę bardzo zdawkowo. Wtedy urodziło się określenie, że jestem "niepiśmienny". Wyzwolenie tych "braków" spotkało się z surową oceną zarówno cioci, jak i Anusi, chociaż uwagi były bardzo powściągliwe. Ja natomiast hulałem po całym transporcie. To było pełne odczucie nie tylko swobody, ale jakiejś sprawności fizycznej - skakałem w czasie jazdy z dachu jednego wagonu na drugi, a czasami w czasie ruszania pociągu pod wagonami. Kiedyś poszedłem z wiadrami po wodę i miałem przed sobą jeszcze 2 osoby do kranu, a parowóz zagwizdał i pociąg ruszył. Ja jednak uparłem się, żeby tę

wodę przynieść. Nabrałem wodę i przeszedłem na tę stronę pociągu, już jadącego, gdzie były otwarte drzwi. Była to dziwna ekwilibrystyka z tymi dwoma naczyniami z wodą: skoczenie pod wagon pod kołami toczącego się pociągu, wyczekanie aż przyjedzie następny styk wagonów i w następnej luce wyskoczenie z pociągu, który już się rozpędzał. Byłem wtedy ubrany w koszulkę gimnastyczną, ale za to w długie spodnie. Udało mi się wtedy wskoczyć na pomost ostatniego wagonu. A pociąg wtedy, jak na złość, długo się nie zatrzymywał; jechał, jechał, jechał bez końca, godzinami, a ja na tym ostatnim pomoście, z resztkami wody, skutecznie marzłem - był to dopiero początek maja. Zatrzymał się późną nocą i dostałem się wreszcie do swego wagonu. Miałem wtedy straszną burę od obu pań, a cały wagon był na mnie ogromnie oburzony. Ja wtedy nie bardzo to rozumiałem, bo przecież chciałem przynieść wodę. Napewno było w tym trochę pozerstwa, chciałem się popisywać... Dokazywaliśmy z rówieśnikami jeszcze w inny sposób. Widocznie głęboko w nas siedziała zadra nienawiści / i jeszcze długo będzie siedziała chęć jakiegoś rewanżu/, a wtedy to było bardzo świeże. Postanowiliśmy, że będziemy robić takie drobne sabotażyki: gdzieś tam podpaliliśmy las, w stojących obok pociągach z'tzw. automatycznymi sprzęgami podnosiliśmy jedną dźwignię, co powodowało rozszczepianie się wagonów. Ciekawie było obserwować, jak ten pociąg ruszał i powoli rozszczepiał się na kawałki. Było sporo radości, ale powodowało to różne przykrości. Dziś wiadomo, że mogli to wówczas uznać za sabotaż i wrogą robotę. Zdarzało się więc, że od czasu do czasu gdzieś trzeba było zwiewać i chować się przed tymi, którzy szukali winowajców. Oczywiście podejrzewali pasażerów z ~~xxxxx~~ transportu - "bo panowie Polaczki jadą, więc napewno narobili szkody i zła".

Najtrudniejszym momentem był chyba wjazd na tereny przedwojennej Polski - na Białorus. Nie pamiętam nazwy miejscowości, w której pociąg się zatrzymał, ale ktoś krzyknął, że jesteśmy w Polsce /dawnej/ że tu jest kościół i ksiądz. Wtedy nastąpił ogromny entuzjazm, widać było autentyczne wzruszenie, widać było jak coś w człowieku pękło,

nareszcie dotarło się do miejsca "swojskiego": jest kościół i ksiądz. Ksiądz, dowiedziawszy się, że przyjeżdża transport Polaków niezwłocznie otworzył kościół, było nabożeństwo. Były straszne płacze, spazmy - to się nie daje opisać. Z ludzi wypływała nagromadzona przez te wszystkie lata gorycz, rozpacz. Te płacze, krzyki były niesłychanie chaotyczne, księdza nie było słychać, a jednocześnie to wszystko miało swój sens, porz porządek, i to musiało się tak odbyć. Troszkę tym ludziom ulżyło, nastąpiło odprężenie po zakończeniu tego strasznego etapu w życiu, ludzie wtedy autentycznie uwierzyli, że już są w Polsce. Ten pierwszy kontakt z kościołem to była duża rzecz. Zatrzymaliśmy się tam 2-3 godziny. Przez całą drogę wolno nam było zresztą wychodzić z wagonów, z wyjątkiem miejsc zastrzeżonych dla wszystkich z wyjątkiem kolejarzy. Można nawet było pójść do miasta. Nikt nie miał co prawda żadnego dokumentu, więc to też było groźne, ale nikt nas nie pilnował. Jedyną władzą w pociągu był kierownik czy też komisarz pociągu, który miał nasze dokumenty.

Drugim momentem dramatycznym w naszej podróży było przekroczenie granicy - przygotowanie do wjazdu do Polski. Dzisiaj oceniam, że to przygotowanie było głupie i nieprzemyślane - zabrakło nam śmiałości podjęcia pewnego ryzyka. Otóż ktoś puścił plotkę, że przed wjazdem do Polski będzie bardzo szczegółowa rewizja. Pamiętam, że nastąpiło wtedy darcie książek /takich, których już potem nigdy w życiu nie spotkałem/ zabranych z Polski i przechowanych jakimś cudem przez cały czas. Sam darłem te książki, m.in. "Śpiewnik polski", w którym były przecudne dawne piosenki z okresu powstań, legionów itp. Ten śpiewnika darłem skutecznie na kawałki i wyrzucałem porcjami z pociągu, żeby nikt tego nie znalazł. Baliśmy się, że w razie znalezienia takich patriotycznych tekstów będą wyciągnięte jakieś sankcje. I w ten sposób uległy zniszczeniu nie tylko książki, ale i listy, które są nie do odtworzenia.

Potem był przejazd przez most nad Bugiem. Pamiętam, że przynajmniej dwie osoby zasłabły w wagonie na serce - ze wzruszenia, że przekraczamy granicę, że już jesteśmy w Polsce - tej formalnej, oficjalnej, do której jechaliśmy.

A w tej Polsce to już można żyć pod gołym niebem, można głodować, można dziadować, aby tylko w niej być. Zresztą ja sam miałem takie przekonanie że jest mi zupełnie obojętne na jakie zewnętrzne warunki trafię, godziłem się dobrowolnie na głód i trudności. Były to decyzje pewno podświadome, bo przecież każdy z nas wiedział, co to jest kłucie w żołądku z głodu, jeden ziemniak czy łuski z kaszy jaglanej, jak smakują otręby itp., ale mimo to, pamiętając to na świeżo, każdy miał takie przekonanie że jeśli to będzie w Polsce, to się nato godziny - aby w Polsce. Zdawanie sobie sprawy jaki tam jest ustrój, jaka rzeczywistość było drugorzędnym problemem. Pierwszorzędnym - było znaleźć się w kraju. Każdy z nas był przekonany o tym, że gdyby nas np. cofnęli, gdyby nam nie pozwolili przejechać granicy, to byłoby to nie do zniesienia. Nikt sobie tego nie mógł wyobrazić. W pewnym momencie psychika dojrzewa do takiej granicy wytrzymałości, że wydaje się, że ani kroku dalej. Dzisiaj wiemy, że gdyby nas zatrzymano jeszcze rok, jeszcze dwa, to pewno wytrzymalibyśmy, ale w tym momencie wydawało się, że jest absolutnie granica wytrzymałości. Wynikało to zapewne z przekonania, że to się kończy. Patriotyzm wygląda inaczej, jak się go ma na stole pod ręką, a inaczej jeśli się jest daleko od kraju. To są inne patriotyzmy, inne paliwo jest dostarczane do organizmu.

W Polsce odłączyliśmy się od transportu w Skarżysku-Kamiennej. Transport pojechał na Ziemie Odzyskane, a my - do Gliwic. Tam była rodzina mojej matki i tam nas odebrano z pociągu.

Po powrocie do Polski przez długi czas nie chciałem zdjąć długich spodni i włożyć krótkich. Przestałem wierzyć "w krótkie spodnie", w to, że coś takiego można nosić.

VI t.

W Kazachstanie młodzież kilkunastoletnia nie nosiła krótkich spodni. Tylko dzieci biegały w skrawkach krótkich majtek. Długie spodnie były atrybutem dorosłości, czy też dochodzenia do niej. A ja się już czułem dorosły, nie chciałem wyjść z tych spodni - bez mała w nich spałem. - w tych brudnych, pewnie zawszonych spodniach, zniszczonych po 20 dniach pracy.

Później czas to jakoś przełamał, bo na początku wakacji już pokazałem kolana. Drugim elementem ubioru, z którym nie chciałem się rozstać był szynel żołnierski, który zdobyłem od jednego z żołnierzy rosyjskich wycofanych z działań bojowych. Z takich żołnierzy formowane były oddziały robocze - byli oni jeszcze nie demobilizowani, ale wysyłani w głąb kraju do pracy. Niedys spotkałem żołnierza mojego wzrostu - kumpla i od niego ten szynel dostałem. Bardzo pokochałem ten szynel. Babka i ciotka musiały użyć wielu perswazji, żeby to wszystko ze mnie zdjąć, odebrać i spalić.

Anusia w czasie drogi przeżywała też trudny moment związany z ubiorem. Ciocia Muszka zdobyła dla niej sandały czy pantofle na trochę podwyższonym obcasie. Siostra chciała koniecznie cały czas w nich chodzić, bo czuła się w nich zapewne trochę dorośleiejsza. W transporcie puchły jej jednak okropnie nogi, ale mimo to cały czas chodziła w tych pantoflach ze spuchniętymi nogami.

Po kontakcie z rodziną mojej matki nastąpiło jakby drugie odprężenie. Byliśmy wygłodzeni, organizmy mieliśmy wyjałowione. Jednym z artykułów, którego brak bardzo odczuwaliśmy był cukier. Ciotka moja miała cukier w dużych 3-4kg słojach i ja razem z Anusią dobieraliśmy się do tych słoków i żarliśmy cukier dosłownie łyżkami.

Ja się szybko zaadaptowałem do nowych warunków. Dopiero w rok później - w maju 47r. - zachorowałem. Byliśmy już wtedy w Milanówku u wujostwa Myszkowskich. Stracili oni dwóch synów w Powstaniu Warsz. i wzięli nas na wychowanie. Byliśmy dla nich całym ratunkiem, bo czuli się zupełnie rozbici po swoim nieszczęściu. Moja choroba wywołała więc sensację w rodzinie. Po wielu błędnych diagnozach i kuracjach stary lekarz pediatra stwierdził, że jest to malaria i przepisał chininę. Wyzdrowiałem, ale po tej kuracji chininowej do dziś mam kłopoty z wątrobą.

Z innych dolegliwości znacznie później odezwały się - i trwają do dziś - skutki odmrożeń / i u mnie i u Anusi/ - rąk, twarzy i nóg. Ja miałem paskudnie odmrożone nogi /palce i całe stopy/, kiedy jeździłem na traktorze spawalniczym w gumowcach. teraz to bardzo dokucza, bo jest niedo-

krwienie stóp i inne dolegliwości. Anusia po odmrożeniu nóg ma nie goją-
ce się , bolesne pęknięcia skóry.

Zostały też u nas pewne urazy psychiczne, u Anusi znacznie silniej-
sze. Podłożem tego były przeżycia w sierocińcu i wszystkie inne w Kazach-
stanie. Siostra była przy tym bardzo skryta, przy jednoczesnej wielkiej
ofiarności. Do tej pory jest ona osobą cementującą rodzinę.
Moje urazy mają stały wpływ na mój stosunek do ludzi i do innych spraw.
Np. mam wyczulenie na korzystanie z dóbr, które nie są moją własnością.
Pamiętam, że w Milanówku nie mogłem znieść tego, żeby ktoś mi coś dawał,
musiałem sobie sam ze wszystkim poradzić. Przypuszczam, że był to uraz,
który pozostał po trudnym okresie w Kazachstanie, ~~jeszcze za życia mojej~~
~~matki~~ kiedy matka nie mogąc pracować /była już bardzo chora na przepuk-
linę/ chodziła do stołówki i zbierała dla nas niedojedzone resztki chle-
ba. Wa strasznie się tego wtedy wstydziłem. Ona jednak musiała to robić,
a myśmy jedli te resztki. I obecne moje reakcje są następstwem tamtych
zdarzeń. Nie potrafię do dnia dzisiejszego korzystać z czyjejś łaski,
datku - moja psychika to odrzuca. W najgorszym razie czuję się wtedy
zadłużony, muszę ten dług zwrócić, a czasem robię to wielokrotnie.

Poza tym, został uraz do Polaków - po tym, jak nasi współmieszkańcy
baraku rozdrapali mienie po naszej rodzinie. U mnie przerodziło się to
w jakiś rodzaj rezerwy i braku zaufania do ludzi. Bardzo dużo czasu
trzeba, żebym się do kogoś przekonał. Do końca zaufania nigdy nie mam.
To oczywiście bardzo przeszkadza w codziennym życiu, w nawiązywaniu przy-
jaźni i człowiek czuje się przez to trochę samotny. Później przekonałem
się, że niemożna też mieć stuprocentowego zaufania do nikogo z pracy.
Jedynymi bliskimi ludźmi do jakich można, a nawet trzeba mieć zaufanie
są osoby z rodziny: siostra, żona... te związki muszą być całkowite
i zaufanie pełne.

Przecie, co mi zostało po tamtych przeżyciach, to chyba surowszy
surowszy stosunek do siebie samego i do moich najbliższych niż do osób
dalszych. Nie wiem, czym to zostało wywołane... W każdym razie napewno

jestem surowszy dla syna niż dla kolegi syna. Może to wynika z wymagań: uznaję, że zarówno ja, jak i mój syn musimy być całkowicie w porządku do otoczenia. Nie może nastąpić żadne, absolutnie żadne uchybienie. U innych pewne rzeczy daje się tolerować.

Moja nieufność do ludzi przejawia się obecnie w formie nieufności do tego wszystkiego, co się dzieje. W Milanówku zacząłem działać w harcerstwie - typu "Szarych Szeregów" - sprzed OH. Wynikało to z chęci sprawdzenia siebie, ale też i z wiary, że coś się zmienie, że coś się buduje. Później, z biegiem czasu, następowały kolejne rozczarowania, kolejne błędy. To rozgoryczenie, ta nieufność, ten brak wiary zaczął się pogłębiać i do dziś trwa. Sprowadziło się to do uznania słuszności może dość brutalnej tezy, że "jak umiesz liczyć, to licz tylko na siebie" - aż do tego stopnia. Jest to bardzo smutne, a nawet złe. Czasem mam pretensję do syna o to, że on nie umie czegos zrobić tak jak ja. Może procentuje tu fakt, że ja w czasie młodych lat, zamiast uczyć się z książek, opanowywałem tę dziwną sztukę lawirowania poto, żeby się jakos utrzymać, żeby przeżyć. I ~~opanowałem~~ nauczyłem się tego. W tej chwili nie uznaję sytuacji, z której nie ma wyjścia. jestem głęboko przekonany /może to jest zarozumiałość/, że w najgorszej sytuacji, która wymaga połączenia wysiłku manualnego z intelektualnym - potrafię sobie dać radę - żeby żyć. Z pomocą innych ludzi, ale w ograniczonym zakresie. Natomiast zupełnie się to nie przejawia w innych dziedzinach, np. w nauce języków obcych, historii, czy w dziedzinach, które nie są mi potrzebne do tego żeby przeżyć czy przewegetować. Odruchowo wkładam największy wysiłek w to, żeby być sprawnym wegetacyjnie - opierając się wyłącznie na sobie. Być może jest to cecha nabyta po tamtych przeżyciach, może to jest wtórny egocentryzm /tu analogia z opowiadaniem J. Londona - strach przed głodem/. Staram się utrzymać w sobie tę ~~ex~~ sprawność - żeby nie być bezradnym. Nie lubię jednak korzystać z ludzkiej, nawet bezinteresownej życzliwości. Nie znoszę np. pożyczać czegokolwiek od nikogo. W moim obecnym stosunku do ludzi, zwłaszcza w sytuacji, gdy mam skorzystać z czyjejs pomocy, najlepiej orientuje się żona, która wyczuwa co mogę, a czego nie.

A żona musiała włożyć dużo wysiłku w zrozumienie tego mojego "szyfru". Teoretycznie uznaję i wiem, że dawanie może dawać więcej satysfakcji temu który daje niż temu, który bierze. Ale często nie mam zaufania, czy zawsze to jest szczera satysfakcja. Ta nieufność jest wadą. Ale walczę z tym. Ktoś z rodziny powiedział, że Małachowscy bardzo późno dorastają.....

Relacja nagrana jesienią 1988r. przez Małgorzatę M. Giżejewską

14/5 1940

Kochana Marysiu.[x]

Telegrafowałam swój adres dla Mamusi[x] na ręce p[ani] Mackiewiczowej już tydzień temu, ale nie dostałam odpowiedzi. Może Mamusi nie ma, co dla niej byłoby najlepsze, może Jej się co złego stało? Mimo że narażam Was pisząc do Was, proszę Cię, jeśli Mamusia nie telegrafowała, nadaj do mnie depeszę, co z nią się dzieje. Nisia może z Dorą wyjechała za granicę?

Rozdzielili nas złośliwie z Mamą od pociągu, Stasiem i Janusią, nie umieliśmy się postarać o to, by być na jednym aucie. Przez te 2 tygodnie jesteśmy już w 3-cim miejscu, a z każdym etapem coraz gorzej. Ostatecznie jeszcze żyjemy, dzieci już wychorowały się na żołądki, jeszcze tylko Tadzio b[ardzo] jest zdechły, a Anusia kaszle, tylko Jadwisia ma jakiś bronchit - b[ardzo] zaflegmiona, ale bez gorączki więc może wyżyje. Ostatecznie dali nas na "fermę ogrodową", gdzie będę i ja mogła pracować też koło domu, choć nie wiem, czy coś zapłacą za robotę i czy choć dadzą chleb. Tymczasem jak w "Dzieciach Kap[itana] Granta"[x]. Od 2 dni mieszkamy u Mongołów[x], którzy jutro mają wyruszyć z bydłem w step. Jest tu jakiś dozorca, względnie są czyści, co nie wyklucza wszów, ale cały czas myją ręce, twarz, nogi i kalosze - tj. ..... z 7-ga dzieci. Na ziemi w izbie koczujemy na kufrach i kilimku. Na pociechę w tym świństwie mamy trochę mleka i sera - nawet wczoraj jedliśmy ze smakiem z ich kotła kuchennego pyszny makaron na mleku (Tapsza).

Jaja są po 40 gr., ryby - w rodzaju karasia - na 2 osoby ujdzie jedna - dziś kupiliśmy w podobnej cenie /5 za 2 rb/. Mąkę będzie można kupić i jakoś wegetować, będzie nas tu około 5 ~~ors~~ rodzin na półwyspie[x] szerokim jak dziedziniec folw/arczny/ Czernielowski około 1/2 km dł[ugości/, oblany jakimś jeziorkiem, co daje pewną malowniczość - mimo siedziby podle obrzydliwej. Za to sowhozy wszystkie w stepie są beznadziejne - jedyny ich plus to woda studzienna.

Piętrasimy jakieś zupki na węglach pod paleniskiem tubylców - pali się "kiziakiem" - są to kupki krów momentalnie zasychające na tutejszym wichrze.

Byłam dotychczas - odkąd wysiedliśmy z kolei - w humorze okropnym. Ciągle jeszcze śpimy ubrani i ciągle główna troska, by nie być głodnym - moji duże objekta sprzedażne tu nie idą. - Kraj i Swoi jak za mgłą. Co jest z Mamusią? Czy też Alusia i Hubo uniknęli tego? A Eraki? - Pani Widacka i jej towarzyszki ulokowani byli w stepie pod Pawłodarem, odrazu z pociągu. Nasza mitręga wynikła wskutek starań o łączność ze Stasiem i Mamą. Nie wiem dotąd, czy żyją - wskutek przekręcenia nazwiska to wszystko.[x]

Proszę - niech ludzie napiszą do nas polecony - może pod firmę Mini? - w razie przenosin tdy doszło.

Ściskam Was wszystkich z całego serca

Myszka

/Dopiski z marginesu:
1/ Napiszenie całą kronikę z tego czasu. I módlcie się za nas.
2/ Czy też Ryszard w Tarnopolu?/

data: 11/6 1940 r.

Kochany Stachu!

Bardzo Ci dziękuję za list. To była pierwsza wiadomość od Was. Pomódl się, żebyśmy się już połączyli. Mieszkamy teraz nad wodą, jest ładnie i można się kąpać, tylko straszne komary. Nie można wiedzieć, czy nas nie zabiorą do Centrali[x], gdzie jest poczta i 7 km do miasta i woda studzienna, tylko w upał przyjemniej.

Jadwisia jeszcze sama nie siedzi, ale u kogoś na rękach b[ardzo] lubi. Znów jest wesoła. Pisałam dużo kartek do Was, do N.K.W.D. Czy coś doszło? - Dzieci są b[ardzo] nieznośne. Anusia jednak czasem próbuje prać pieluszki, a Tadzio gotować, bo kuchnia b[ardzo] źle się pali. T[adzio] ma dwie wędki, ale ryb na nich nie łapie, raz mu się udało 3 maleńkie. Za to smaży ryby kupione u rybaka. Są tu też myszy, pluskwy i pchły. Są też i szczury pływające. [12.VI. To wszystko już przepadło, bo od jutra zabierają nas do [Centrali], czego bardzo żałujemy, bo właśnie zaczęliśmy się kąpać w rzece.

Jadwisia właśnie zaśmiewa się do Anusi na całe gardło. Rozmawia też z łyżeczką gdy jej daję od paru dni jakąś mączkę. Nestka - b[ardzo] smaczna.

Sciskam Cię Stachuniu

Mama

Pojma, 17/~~czerwca~~ 06 1940 r.

Kochana ~~Mamusiu~~ Janusiu!*

Odebrałam wczoraj Twój list, pewnie przeleżał on na poczcie. Wysłałam do Pawłodaru prośbę telegraficzną, a do Irtyszska miał dziś jechać dyrektor naszego Sowhozu i od nich prosić o Was, żebym mogła pracować. Może co z tego odniesie skutek.

Mogłabyś próbować sama, o ile tamto nie pomoże, z dyrektorem swoim pokonferować, żeby Was tu odesłał - chyba jeździ czasem do Pawłodaru? - i tam uzyskałby to pozwolenie. To wszystko są teorje - kto ma tupet i szczęście i bombarduje silnie, wszystko mu się udaje - nam się jakoś nie wiedzie.

Pytasz, jak nam się wiedzie? Karmię dzieci gorzej niż Wy Stasia. Mleko jest aż o 1 km, więc nie kupujemy - co parę dni jest przypuszczam i ser. Najgorsza jest sprawa gotowania, jest to o tyle większa kara czyśćcowa, że kuchni ruskiej nie mamy - na miejsce wydartego "kozackiego" kotła jest na ziemi rodzaj płytki, która około 2 godz. się rozgrzewa i dymi - tak zwykle smoli nasza towarzyszka, a my gotujemy na cegiełkach w chlebowym piecu, gdzie się pali dobrze lub nie, zależnie od opału, który Tadzio dostarcza z takiemi samemi awanturami, jak z noszeniem mleka w Tarnopolu.

Rano zwykle jemy zacierkę - reszta zostaje na obiad, do tego "jajecznica" po chłopsku = 1 jajo na osobę + moc mąki, robi się rodzaj mamałygi, albo paskudne blinki bez potasu, albo ryba czasem, kasza rzadka, resztka tej hreczanej, co mi dałaś na Nowy Świat. Do tego "chleb" tj. jakieś placki. - Ja osobiście też nie mogę ani rusz mało jeść - pominąwszy "mleczarnię", ledwie włóczę nogami. Teraz już się podreperowałam, szczególnie przez 5 dni w szpitalu.

Od dziś będę raz na dzień chodzić do roboty, bo już się złościli, że jestem bezrobotna. (Choć nie dają nam niczego, więc nie powinni wymagać). - I za tę cenę zostajemy tu, gdzie choć jest woda - mimo pluskiew i pcheł okropnych i niemiłej zwierzchności -

~~Ala~~

- już tu wolę. Szkoda tylko, że trudno ze światem się połączyć i trudno co sprzedać. Dużo byłoby do mówienia i radzenia. Jeśli na nie połączą, na jakimś aucie chyba pojadę do Pawłodaru. Jeżdżą auta czasem z naszej "Centrali". Tylko dla Jadwisi to nieco męczące. –

Już prawie obie straciły koklusz i J[adwisia] się poprawia.

Sciskam Was mocno

M[yszka]

/Dopiski na marginesie:

1/ Mąkę kupiłam za gotówkę niedawno, przedtem nie miałam.

2/ Ubranie niedzielne T[adzia] mogę sprzedać, chyba Stasiowi nie będzie potrzebne.

Pojma[x] 20/6 ~~czerwca~~ 1940 r.

Kochany Tatusiu!

Chciałam pisać do Tatusia atramentem, ale ostatecznie nic z tego, bo w domu nie mam czasu, a Jadwisia ma być jak najwięcej na dworze, więc przy niej piszę. Dobrze, że jest nad brzegiem rzeki wyniosłość, która zasłania od wiatru, bo tu wichry co się zowie. Dlatego i upał jest łatwy do zniesienia. Bywa taki wiatr, że gdy nasze wiadro stoi z mlekiem (na ser) i nosi się wodę w miednicy, trzeba iść tyłem, bo wiatr z miednicy wodę wyrywa.

Zwyczajem starych ludzi zaczynam od gadulstwa. Kiedyś muszę zacząć być stara. — 5

List zaczęłam w tej myśli, by doszedł na św. Annę - zawsze byliśmy wszyscy razem tego dnia[x], tego roku wszyscy rozbici. Może Tatuś będzie chociaż u Basi?

3-ego wiem dobrze, że Tatuś specjalnie o mnie myśli. Otóż teraz mam okres zupełnie możliwy, Jadwisia choć bardzo chuda i mizerna, ale żyje i śmieje się (miała kokluszę, zapalenie opłucnej i początki zapalenia płuc).

Do roboty nie chodzę, choć znów próbowałam, bo nie wydążę. Mieszkanie ujdzie (duża jama [jakie] chata), żeby nie pluskwy i pchły. Anusia łapie pchły prawie niezawodnie, mnie 2/3 zawsze ucieknie. Doszły do tego komary, które wciskają się do domu! A że ja od jednej pszczoły puchnę, więc po jakich 50 komarach na każdej nodze dostałam "ELEFANTIASIS" - jakbym pedały wprost z ula wyciągnęła, co wygląda cudownie. Malaryi jeszcze nikt nie ma. Jest za to rzeka błękitna, bucząca aż falami, gdy duży wiatr, bąki, mewy, jaskółki, dzikie kaczki. Żab nie ma. Jest też zielona trawa, fenomen w tym kraju, gdzie podobno rok jest specjalnie posuszny. Zbóż żadnych nie widziałam. Żyta tu nie sieją, pszenica ma mieć tego roku 20 cm wysokości, owsa chyba nie ma, kartofel nie sadzą w polu, a na "ogrody" nie potrafili dostać nasienia. Owies zapewne przepadł. Te "ogrody" tj. buraki, pomidory w gruncie! Miesiąc temu zasiane dynie, ogórki,

trochę kapusty. To wszystko musiało być przez miesiąc rano i wieczór podlewane, żeby zeszło i to 1/2 nie zeszła. Wodę z rzeki nosili lub wozili beczkami wozem "na wołach", jak tu mówią, konie służą tylko do jeżdżenia - są nieduże, ale dobre koniki. Zaprzęgane w jednokonki. Ale Tatuś to wszystko pewnie zna i wspomina ze wstrętem. Tylko szarego wypalonego stepu nie zna Tatuś. Jest tu tak sucho, że bakcyl pleśni w lecie nie ukazuje się nigdzie. Zdaje się że klimat zdrowy. Żeby tylko nie zimować.— [. . . .]

Piszę dorywczo, bo choć nie chodzę do roboty, dziękm Jadwisi, która jest rekonwalescentką (może się wymiga z gruźlicy) - mam pranie, gotowanie itd. Tadzio pomaga gotować z przyjemnością, Anusia czasem zachciała, oboje czasem bawią Jadwisię, ale ostygli znacznie w zapale do różnych robót. Tadzio łapie ryby, a Anusia bawi się z dziećmi Mazurów[x].

Ryby to raczej płotki, które Tadzio soli wzorem rybaków - niech sobie soli. Rybacy tu zaciągają sieci,—czasem ryby sprzedają, choć wolą solić - częściowo suszą na wietrze, by w zimie sprzedać.

Ze Stasiem ciągle rozłączeni - ani rusz nie chcą nas złączyć. Janusia pisze: Staraj się, bo ja nie mam jak. A ja mieszkam 7 km od Centrali - choć nie o 30 km, jak Oni - a tam też nie chcą mi pomóc, tylko zwodzą. Czy to wola Boża? Czy tak ma być lepiej? Czy niedołęstwo nasze? Staś ma tylko to, co na sobie. I gdy Janusię biorą na dłuższe okresy w step, oni oboje z Mamą sami zostają.

25 marca 16. Już niby można ich tu przenieść. Pewnie jeszcze będzie dużo przeszkód i ceregieli z tym.

Gdy będą, któraś z nas pojedzie do miasteczka zdobyć zapas mąki na jakieś 1 półtora 1/2 miesiąca - może na zamianę.

Piszę tak drobno, bo na trawie przy Jadwisi - może Mamusia poratuje - niewyraźne litery poprawi. Jadwisia od 2 dni szczyci się dolnymi ząbkami, szczyci się też chwytaniem rączką tego, co chce,

np. trawy obok której leży - ale b[ardzo] jest pozatem niedołężna.

[brak dalszego ciągu w oryginale, ale jest ten fragment przepisany ręką Ojca - mojego Dziadka - przyp. Anny]

Tatusiu, 3-ego i często pozatem wydaje mi się, że czuję myśli Tatusia koło siebie. Niech się Tatuś nie modli, by nam teraz było dobrze, bo i tak jest w lecie wcale znośnie - dzieci nawet są wesołe, a ja chwilami zachwycam się wodą, gniazdami jaskółek w naszej sieni itd. Ale żebyśmy wrócili zdrowo i niezadługo, dlatego zgadzam się teraz na wszystkie przykrości. Może i będą jakie, bo w sąsiednim dostatnim kołchozie wczoraj próbowali uchwalić, by karać tych, co za "szmacie" dają nam mąkę.

Narazie dzieci lepiej wyglądają - ja niestety nie straciłam swych nieprawidłowych wypukłości i wyglądam zawsze dobrze - i jestem bardzo zdrowa. Zawsze marzyłam o prymitywnym życiu, teraz je mam, żeby jeszcze była jakaś niewolnica do ciężkich robót, a raczej do tych wstrętnych, tj. mających związek z jadłem, wszystko uszłoby póki lato.

Zimowi[x] gajowi i koloniści są niektórzy w gorącej Azji, inni koło Irkucka.

Jak Tatuś żyje bez źródeł gotówki? Czy dlatego nie rusza się nigdzie? Czy też ma Tatuś trochę zajęcia?

Pragnę wiadomości dużo o swoich i dalszych. Czy Ila smarzy się w Warsz?- czy są razem? Czy żyją Jarochowscy? Czy Jurek M. ma jakąś pos
Co będzie, Tatusiu? Myślę, że gdybyśmy mieli tu zwolna zginąć, P[an] Bóg nie byłby ocalił Jadwisi, choć nie szturmowałam o to.

Rączki całują, najdroższy Tatusiu, Jadzi za list dziękuję i ściskam ją

M[yszka]

To nie przejdzie, bo grubym Kirgizom i ich dzieciom tłusciutkim od masła bydło nie da zginąć z głodu nawet w razie nieurodzaju. Tylko chudzi "ruscy" przesiedleńcy z zachodniej Rosji boją się głodu i chcą też byśmy zaznali głodu jak oni w 32 i 33 r., gdy dzieci im wymierały z głodu wprost, a matki byłyby je chętnie potopiły.

15/

Pojma, 25/15 ~~czerwca~~ 1940 r.

Kochana Mamusiu

Tylko parę słów, by dziś wrzucić list.

Dawno od Ciebie nic nie było. Jakże bardzo cieszyłam się tym wróconym z Pawłodaru. Tylko nie rozumiem, co mogłaś sobie wyrzucać, chyba to, że nie mieszkałam blisko Ciebie?

Wreszcie N.K.W.D. pozwoliło na przywiezienie tu Mamy[x] i Stasia[x]. Strasznie się wszyscy troje cieszymy na Stasia - boję się zaś mieszkania z Mamą z uwagi na nieznośne dzieci, pluskwy, komary i na nieład panujący wiecznie koło mnie.

Gdy byłam teraz 3 razy w Centrali o ich przywiezienie, 2 razy taszczyłam z sobą Jadwisię - ~~raz na~~ pieszo, raz znów zostawiałam tu - i tak i tak było źle, wreszcie stała się rzecz bardzo zła - choć nie nieszczęście - ale prawie, bo wtedy właśnie ukradli mój złoty zegarek zostawiony dla Jadwisiż Pominąwszy sentyment - był on wart 1.200 rb., choć tu go kupić nie chcieli. Wobec tego najbliższą z brzegu do sprzedania niech będzie bransoletka, jeśli tam złoto idzie. Właściwie nie powinnam się była przyznać Mamusi. Gdy piorę, czy gotuję, czy coś robię, w myśli "mówię sobie" list do Mamusi - potem się potraci wszystko. Niepokoję się o Ciebie, Mamusiu Najdroższa!

Jadwisia znów więcej kaszle. Muszę znów przykładać jej tę wstrętną gorczycę.

Jako uniwersalna rzecz (m.in. woalka od mush) służy Babci biały szalik. Męczą ją (Jadwisię) pluskwy, bo co noc jest pokąsana - jak to musi boleć, kiedy aż piszczy czasem. Ponatem, gdy syta, jest bardzo wesoła.

Paczki podobno są na poczcie, jeszcze nie wydają. Czy nasze?

Z braku grysiku gotuję tutejszą grubą grysikową mąkę z masłem, jak grysik na wodzie - i dobrze - mleko porzuciłam, bo się kwasiło jeszcze w drodze. Ale zawsze "ja" jestem najsmaczniejsza, na zakoń-

~~15a~~

czenie niezbędna i dokarmiam 2-3 razy dz[iennie].

Sciskam b[ardzo], b[ardzo] mocno i rączki całuję

- M[yszka]

Anusia raptem od paru dni jest jakaś lepsza. I zawsze mistrzowsko łapie pchły.

Do p. Frani chcę pisać znów za jaki tydzień. T[adzio] cieszy się że Janusia przyjedzie, bo będzie lepiej gotować. No i grunt, że ze St[asiem] razem łapać mają ryby.

~~18~~

Kazachstan, 1 ~~grudnia~~ XII 1940r.

Tatusiu!

Jeśli dojdzie ta kartka na Wilię, pomyślcie o nas 5 godzin wcześniej niż Wasz wieczór, a my o Was późno wieczór. Oby Bóg dał, żebyśmy się wszyscy zjechali zdrowi. Po ludzku sądząc chyba tak nam przeznaczono? Gdy już tak źle, że nie ma co jeść, coś znów sprzedam jak z nieba = udaje się coś wymienić. Muszę jakimś sposobem odesłać dzieci do domu, do lat 14 można się wystarać, tylko trudno mi być w Pawłodarze. Bo wspólnie mamy za co przeżyć ledwie przez grudzień jedząc tak mało jak teraz. Wolałabym być jednak po stronie Mamusi, gdybyśmy wyjechali, zostałaby jak palec.

Marzniemy - gdy mróz z wiatrem, śniegu na wiadrze do rana nie chce rozmarznąć. Mimo to jesteśmy przeważnie zdrowi.

Dziś radość, w drodze paczki z T[arno]p[ol]a. /Jemy chleb z prosa/.

Sciskam Stasiów, Basiów i dzieci, Jadzię, Tatusiowi rączki całuję

M[yszka]

/Dopisek na stronie adresowej:
Mama utraciła zawroty głowy i jest teraz duchem najsilniejsza z nas wszystkich. Janusia gotuje i drzewo rąbie wraz z T[adziem], ja chodzę za mąką i kłócę się./

~~27~~

Dżołkpduk Kołchoz Kydyłżar
26/~~marca~~ III 1941 r.

Kochana Mamo*!

Pamiętam, że dziś imieniny Mamy, ale czynić nic ponad pamięć nie mogę. Czemu nie dacie pocztą znaku życia. Piszę przypuszczalnemi okazjami i także pocztą, żebyście przyjeżdżali i wszystko bez skutku. Przyjeżdżajcie natychmiast - pracę mam narazie przy bieliźnie szpitalnej. Dokumentów żadnych nie trzeba. Łóżka [zapasowe] może się zmieszczą, można je sprzedać. Na sprzedaż koc Anusi, potem mój biały. Gdybyście sprzedali szalik Mamy, odkupcie go. Jedźcie leżąco dla ciepła i złej drogi. Zajedźcie tu do szpitala. Z kosztami podróży nie liczcie się - i tak się opłaci.

Ściskam Was

A[nyszka]

13

~~24~~

16/4 ~~kwietnia~~ 1941 r. – 6 rano!

Moja Ty najdroższa, po Bogu najlepsza. Ty jedyny przyjacielu!

Muszę teraz codzień po troszkę pisać do Ciebie – tak jak ten balonik wołał do trzciny: Król Midas ma ośle uszy[x], tak ja zamiast głośno myśleć będę wszystko Tobie wypisywać.

Mam teraz dwa marzenia: jedno, by mnie R[yszard][x] wziął na ręce i ponosił chwilkę – brał mnie czasem z żartów, choć byłam ciężka, ale to się pewnie nie stanie, bo ciągle mi się zdaje, że On na lepszym świecie. Dziś w nocy miałam słodkie a bolesne odczucie jego duchowej obecności – jakby zrozumienie się bez słów. Może to [iluzya]. Jeśli wiesz już coś o nim pewnego, napisz. Będę na tyle silna, by list spalić – najwyżej powiedzieć J[anusi], lub zmilczeć w ogóle. Zrobisz to?

Drugie marzenie: Położyć głowę na Twoich kolanach i mieć na głowie Twoją chudą, najdroższą rękę i Ciebie najlepszą nad sobą. Dziwne jeszcze życzenie. Możesz je spełnić! Ciągle, choć bez urazy, winię biedną C. Jańcię*, że była natchnieniem tych b[ardzo] bolesnych listów pisanych z [...?...]

Dowiedz się od Lesia[x], czy R[yszard] mając taki ciepły temperament mógł się obchodzić bez żony? Kto był tym erzatzem, którego się domyślałam będąc tam raz w sierpniu? Czy uwierzysz, że wiedzieć będzie pewną ulgą – a urazy do R[yszarda] o to nie mam, bo i tak myślę o tym jak o [...?...]

Z Jermaku [wszystko tutaj nowe] /?/. Jednak trochę się uspokoiłam. Miałam dziś znów noc łaski Bożej, ale nie doszłam do tego, co raz w szpitalu, kiedy wszystko ludzkie było zupełnie ~~było~~ bez znaczenia. Nogi podpuchnięte usprawiedliwiają siedzenie w domu, nieco poszyję i popiorę. Tymczasem podeschnie. Sciskam Cię tymczasem.

~~24~~

– Siedzieliśmy w upał na trawie pod drzewem całe popołudnie. Skowronki śpiewają [...nieczytelne...]~~.....~~, biała mewa, która leży. Jadwisi ślicznie w białym /Bieńkowskim?/ sweterku z szaliczkiem Twym dotąd czystym i w białej kapuzce. Mama całymi ~~dniami~~ dzień miła dla mnie. Sprawa Jermaka[x] wisi – wszystkim na myśli. A może tu nad łąkami założyć by dla kołchozu ogród kartoflany? Od Świąt ciągle jestem syta, w razie czego dokupuję sobie. 100zł leży na poczcie. A grunt, że mąkę żytnią coraz łatwiej dostać.

[nieczytelne] – ja tu żyję ciągle w oczekiwaniu jakiejś wiadomości. Tym gorszy będzie zawód.

[brak zakończenia]

~~25~~ 15

29/V ~~Maja~~, ~~chyba 1941 r.~~ południe *

Mamuś Kochana!5

Znów siedzę na słońcu i wietrze, wydaje mi się, że zdrowieją wszystkie bolesne członki, noga od [nieczytelne] szybko się goi, pięta odmr[ożona] zgojona, a bol[ąca] zmiękczam wazeliną, by jakoś dostać się do tego bolącego gwoździa. To szalenie interesujące! opis tych wszystkich bólów? Piszę ~~na~~ w niepo~~trzebnej~~ (zgrabnej) formie, z braku papieru. Za to mogłabym ci posyłać koperty, pocztą. Twoja ostatnia była cała podwójna.

Miałam dziś bal na śniadanie: pyszna śmietana na chlebie, posypana cukrem, przypomina dziwnie hreczaną leguminę. Będę sobie kupować.

30/~~Maja~~ 5. Imieniny Feli[x]. Czy też miałaś od nich wiadomości?

Mówić będziemy w czerwcu litanię, ja to ofiaruję [nieczytelne] za uwolnienie R[yszarda] i nasze.

Jak Anielcia* znosi być cały dzień na nogach?—

Mam ciekawe porównania szpitali - prócz Tarnopolskiego tu już ~~trzeci~~ 3ci poznałam. Paw[odarski] na 89 łóżek, Irtyszski na 30, tutejszy na 15. Im większy szpital, tym lepsza opieka lekarska, im mniejszy tym lepsza opieka sióstr i milsze stosunki osobiste. Tu całe życie koncentruje się w kuchni. Króluje tam "[nieczytelne].". Nie jest to żaden pogrzebacz, ale wspaniale prezentująca się wszechwładna kucharka. Przy obecnej liczbie chorych - 6 - ona też pierze, i gdy w dobrym humorze, pozwala co przeprać.

Gotuję stale: zupę grochową i kaszę jaglaną, na mleku na obiad. Czasem posypują cukrem, kt[óry] po 2 łyżki fasują chorej. Wieczór posypuje się nim grysik na mleku na gęsto, pochodzenia polskiego, podobno. 3 ~~razy~~ x dz[iennie] chleb i koffi - czaj. Doktorka za to urzęduje tylko w godzinach [..nieczytelne..] - od 8-9 - resztę dnia spędza w Ambulatoryum, o ile jest nawet ktoś bardzo ciężki, jak była dziewczynka z zapal[eniem] płuc, nie zajdzie, choć mieszka za ścianą i przechodzi korytarzem. Szczęście, że siostry są b[ardzo]

Jermak, 30/~~maja~~ 5 1941 r. Jermak wieczór

Mamusieńko!

Właśnie przynieśli mi chłopcy list Twój z 18/5. Ileż listów ginie, przecież 24/4 nająwszy tu mieszkanie pisałam nowy adres, liczyłam, że 8/5 już go masz, ileż razy pisałam potem zawsze z tym adresem, a tymczasem tak wyglądany przeze mnie list z 10/5 gdzieś się zabłąkał. Napisz, czy Stenia Glogier dostała mój list? Byłby nadszedł w 1-szym tygodniu Maja.

Właściwie klimat nasz Podolski należy do Azjatyckich, bo zwykle rodzaj pogody bywa u Was, jak i tu, z wyjątkiem, że tu prawie nigdy deszczu nie ma. Od 5-ciu dni przelatuje codzień ze strasznym wichrem 5 kropel deszczu - tu jest to i tak cud. A pewnie u was pada wielki, rzęsisty deszcz i świat aż cały wilgotny od oparów? A tu bielizna wysycha do 20 minut.

Ołówek gdzieś ~~prze~~u padł, a tu chemicznych nie ma, dobrze że [...]. Aż giniemy za jarzynkami. Wynajęcie i zasadzenie ogródka pewnie się nie uda (tu dopiero kończą sadzić). Tymczasem przysyłaj co możesz, suszone i koper, bez liku liście pietruszki, gdyby była, szuszone płatki kartofli, jeśli jeszcze są, szuszone liście kapuściane, gdy będą, smalec z cebulą przetopiony, może być trochę cebuli - bo i tak pod upały słoniny już więcej nie wysyłaj, ale topione wszystko razem, choć to kłopot, jednak inaczej b[ardzo] się starzeje. Choćby we flaszkach, a flaszkę w krupy czy mąkę. Nie kupuj krup hreczanych nas każde zadowolą i jęczmienne nawet. Trzebaby obliczyć, co drożej i o ile transport? Może się posyłać nie opłaca! Tu mąka potaniała i maksymalna cena jest ± 4,½ rb. Najlepiejby zemleć nam na miałko około 3 ary /?/ pszenicy, z takiej mąki pyszne i blinki i lemieszka i zacierki, a nie ma ona goryczy naszej "pośladowej" mąki. Podobno jest jakaś legendarna mąka grochowa po 2 rb., ale jechaćby po nią do Pawłodaru, na to trzeba mieć już dużo gotówki. Prosa jest dużo, a trudno go kupić - żytnia mąka przypadkowo się trafia po 3 rb kg -

ale chleb sam jest teraz w dostatecznej ilości, bo dają, póki choruję, 1½ kg na dzieci. Gdy wyzdrowieję, wykażę się jako inwalidka i będzie można może kupować jeszcze 1/2 kg na mnie. Na szczęście wrócił już żytni chleb o połowę tańszy - po 75 kop. kg. Wobec bardzo bolesnej reakcji po masażu, sądzę, że tłukąc ogon nadtłukłam i kość biodrową czy miednicę i że jeszcze z miesiąc, mim to jakieś pęknięcie zaleje, a ja przestanę na schodki wyłazić na czworakach. Za to rozdarcie od psa goi się cudownie, jakimś Rivanolem (opowiedz Lenardowi). Ani śladu materyzowania, choć kawałek mięsa był zmartwiał aż do czarności, a teraz śladu dzikiego mięsa. Jeśli będą jeszcze kiedy leczyć, wyrzucę na pysk Dewinat /?/, a zastąpię go tym cudownym płynem.

Pytasz o Jermak? Jest to napół wieś, ale siedziba niezliczonych "kantorów" między innymi b[ardzo] uprzejme N.K.W.D. - i jest to siedziba "Kaganowskiego"[x] powiatu. Do Pawłodaru codzień okazja, ale źle urządzona przeprawa przez rzekę[x] 30 km odl/egła/. Najczęściej jeżdżą 1/2 [wiecznie] a 1/2 jakimś statkiem. - Ale ważą kazionne 3 razy na tydzień.

Wypoczywam szalenie - siedzę dużo na dworze, szyję jak maszyna parowa, jutro zacznę przewracać dołem do góry oraz nicować spódnicę od starego kostyumu. Uszyłam też dziś b[ardzo] ładne pantofle Jadwisi wedle tych Bieńkowskich, tylko z woreczka od grochu. Chciałabym tu się utrzymać aż Janusia będzie miała posadę, a za jej powrotem o g. 5 i 1/2 iść na [?] Mama sama nie byłaby przykra. Albo może się ta szwalnia otworzy dla mnie.

Czytam "Quo Vadis" - oby mi starczyło jeszcze na niedzielę.

Trochę irytująca jest mania oszczędności. Za mnie zjadali lekko po 1½ zupy grochowej na kolację o 1/2 do 6, to jeszcze nie jest niehigienicznie. Zupa kosztuje 55 kop., ale dla oszczędności jedzą już tylko po jednej, ale mówią, że są najedzeni, może być, że Janu[sia], która lubi wszystko późno, daje obiad koło 2, a do tego z

omastą. A my jedliśmy o 12. Rano też smarują chleb smalcem. I mnie dziś smalec przynieśli.

Napisałam podanie do jakiegoś prokuratora z Kijowa, gdzie pisała przedtem Pazurowa, że jestem kaleką na niektóre członki i żeby zwolnili R.[yszarda] mającego nas utrzymywać. Módl się i Ty do Serca Jezusowego, czy do Bozi, jak chcesz, byśmy przed zimą wrócili. Nie czuję się na siłach zimować tu, choć ta zima byłaby lepsza może. Proś św. Tereskę, która proteguje dz.[iadka] albo i Stasia. Staś i mnie bardzo pomaga. I dobra ś. Gertruda. I pewnie p. Jul i Cesia Glogierowa i C. Malusia*, i kto jeszcze?

31/~~maja~~, 7 rano. Cudny słoneczny dzień. Od rana jakoś mi wesoło - wygrzeję się dziś na słońcu. Wczoraj co chwila były burze piaskowe - chłopcy idąc tu 1/2 g/odziny/ gdzieś stali czekając. Staś teraz dobrze wygląda - T.[adzio] mizerny po malaryi za to b.[ardzo] przystojny w furażerce R.[yszarda] i siwej kurteczce. Obaj noszą orzełki na czapkach.

Tymi dniami wyjeżdżają zwolnione panie, ale ostatecznie nikt nie chciał brać nielegalnie Anusi*, a podanie widocznie odrzucili. Ale mam prawie pewność, że wrócimy tego roku wszyscy.

Mamuś, gdyby można, niech nasza Hania z Tur.[owki]/ ususzy Jadwisi poziomek, daj do niej kartkę przez krewnych Korninkowej - Sr. Stanisława naprzeciw Reni*, może byś nie musiała sama tam się drapać? Szwecz /?/ podała lub Nisia*? Nisię uściskaj - powiedz jej, że nieraz chciałabym mieć gdzieś blisko siebie jej gorące serce. Dziwne, że jej złośliwość tak nie wyklucza jej przeogromnej dobroci. Odgadywanie, co ludzie ~~czje~~ czują czasem b.[ardzo] mylnie, czasem jednak jakże bardzo dobrze robi. Pragnę b.[ardzo], by ona kiedyś Anusię przygotowała do I Komunii. Tymczasem wszystkie dzieci są szalenie zaniedbane. Pacierz wieczorny mówią, rano nie. Myją się od czasu do czasu. Może, gdy będę w domu, zajmę się nimi trochę.

Czy dawno czytałaś "Quo Vadis"? Jakież cudne i głęboko chrześ-

cijańskie jest wszystko, co mówi Św. Piotr. Gdy wyłapali pewnie prawie wszystkich chrześcijan: "Oto przychodzi do Was i mówi Wam: Pójdźcie drogą moją - oto podnosi Was ku sobie, a Wy czepiacie się ziemi rękoma wołając"Panie ratuj"! A .... od Krzyża wołałem w boleści jak Wy wołacie. "Biada, biada, Panie! Tyś Bóg! Cuemużeś na to pozwolił, czemuś umarł i czemuś utrapił nam serce którzyśmy uwierzyli, że przyjdzie Królestwo Twoje. A On Pan nasz i Bóg nasz, trzeciego dnia zmartwychwstał i był między nami".

[brak zakończenia]

~~2/8~~

8/~~Czerwca~~ 1941 r.

Kochany Tatusiu!

Dostałam list Tatusia przeznaczony na moje urodziny - byłby napewno doszedł, gdyby nie to, że przenieśliśmy się do miasteczka powiatowego od miesiąca, ale przyjemności przeczytania go nic mi nie zepsuło, chyba to, że przez brak dobrego adresu przez 1/2 roku nadaremno pisałam. Myślałam, że tout court Zbydniów jest zamało, dodawałam via Rozwadów - Tarnobrzeg, a przecież list nadany w Tarnobrzegu, bo też oba stemple bywały na listach - dziś wyczytałam na Tatusia kopercie "Kreis Dębica".

Prostuję niektóre rzeczy: "Operacya" moja w Pawłodarze była bezbolesnym 5-cio sekundowym cięciem, ale pobyt w szpitalu przydał mi się na wszystko. Bardzo niewalecznie - odwrotnie niż obie nasze Matki - przebyłam tę zimę - ostatecznie w ciężkiej hipokondryi, tak że przestałam się wogóle prawie dotykać Jadwisi. Teraz znów Mama z Janusią ją hodują (ja coprawda nie cierpię roczniaków), bo los zaprzysiągł [fragment obcięty] i znacznie się polepszyło, a pies rozdarł mi łydkę, więc zaprosili mnie do szpitala - jestem już ~~dwa~~ 2 tygodnie - dzieci mają prawo do 1,5 kg chleba, a ja się wygoję (mam sprężynowe łóżko). Już tymi dniami mam wrócić do domu. Dobrze mi tu bardzo. Szyć mi wolno i siedzieć na dworze - na skraju stepu stoi szpitalik. Zawsze tu wiatr i zawsze słońce - może być 30 dni w roku bez słońca. Step tego roku zielony - choć deszczyki trafiające się są miniaturowe. Chyba prędko dorosną pomidory i specyalność tutejsza - wspaniałe słodkie kawony. Ale możnaby chętnie kawonów się wyrzec.

Zdaje mi się, Tatusiu, że ja nie więcej mam do wycierpienia od innych, ale równie jak Tatuś wszystko ciężko znoszę i życia nie cierpię, a nie mam hartu Tatusia. Może teraz dojdę do tego co Mama Ludg[arda] wyznaje od jesieni - co Bóg daje, wszystko dobre, tylko "ich" dobrego humoru ja nie będę mieć nigdy.

Z Janusią wojujemy, czegobyś się nie spodziewała, żebyś na jej miejscu była anielska Dora*, albo gadatliwa, kłująca, a tak bardzo pełna serca Nisia. Ale i to się ułoży, jedna z nas dostanie jakiś zarobek - wolałabym ja, ale co Bozia da. J[anusia] jest tak bajecznie bez nerwów, że i na Mamę i dzieci dobrze działa.

Mamy własne mieszkanko z oknem ku wodzie - Mama zdaje się też zadowolona.

To jest całe szczęście, że "nic nie idzie na marne" i że duże pensum odrobimy teraz. Ryszarda sprawa podobno niby to jest w toku, z tego wnioskuję, że on egzystuje, bo ze 3 miesiące myślałamx przeciwnie. Co za szczęście, że są wiadomości o Stasiach*, nieniepokoiłyśmy się o nich. Czemu Fela nie pisze do mnie - to działałoby na mnie jak słoneczna płyta gramofonowa, która właśnie gra za ścianą [nieczytelne] skutecznie.

Tatusiu! Rzeczy z paczki trochę są noszone, trochę nas przeżywiają. Dały nam ratunek w b[ardzo] złej chwili (tu bajecznie tania słonina), dzięki za nie. Ale więcej nie posyłajcie, co to za wysiłek - a zawsze coś zabraknie! Czy Dorotka[x] będzie gdzie na wsi w lecie? Nasza Jadwisia to mała jak figa, wesoła, sprytna dyable koloru blond - twarzy trochę Tadzia trochę p. Tołkaczowej*. B[ardzo] źle wychowana i męcząca.

Niech Tatuś mi napisze: czemu Nusia Tołkaczówna nie jest w szkole (sama kartkę napisała), co się dzieje w Babicy, mówili, że hr. J.[x] miał raka już 2 lata temu, może dawno nie żyje? A co się dzieje w Rudnej*?

Dziś właśnie posłałam Tatusiowi już drugi list Mamusi - zła będę, jeśli tyle wszystkiego nie dojdzie, dawniej 2 ~~razy~~[x] na mies[iąc], teraz piszę co tydzień.

Dzie[ci] w zimie bywały przykre, w lecie wszystkim lepiej, no i wreszcie mieszkamy sami.

Staś zawsze najlepszy, T[adzio] twardszy, ale najwierniejszy,

codzień teraz do mnie przychodzi się dowiedzieć, Anusia strasznie drańcia, ale da się użyć do wszystkiego, zwłaszcza gdy mnie nie ma blisko. Teraz tylko na nią przyszła kolej mizerności. Nadeszły znów paczki z T[arno]p[o]la w samą porą!

Może dostanę robotę w szwalni, dla której tu przybyliśmy, jeśli nie, jakąś ogrodową.

Jak się ma Tatusia wątroba? Zmartwiłam się dowiedziawszy się o niej. Czy Tatuś dość się rusza i ość jest na dworze? Czy pokój słoneczny i dobry? Proszę coś napisać o Zbyszkach*, żadne z nich właściwie nie wyglądało mile. Kto tam w Zb[y]dniowie[] jest dobry dla Tatusia? Czy lubicie się z Tadziem*? Jakie on ma stosunki służbowe?

Wie Tatuś, że zrobiłam się strasznie brzydka, twarz czarna, pomarszczona, ręce "schudły" po odmrożeniach jak pomarszczone szpony. Włosy po męsku, ale te kiedyś odrosną.

Ściskam Tatusia Kochanego

Myszka

/Dopisek z marginesu:
Módlmy się do Serca Jezusowego, może się ulituje/.

3/3

23

Jesil, 28/~~7ipca~~ 1941 r. Jesil

Mamusieńko!

Pisać mi się nie chce, bo mówią, że nie dojdzie. Co tydzień piszę. Jesteśmy da dużej stacji, gdzie Janusia pracowała przy torze teraz będzie przy budowie jakiejś szkoły, bo tamta cała partya wyjechała, a my nie możemy się ruszyć, bo Mama była umierająca - wróciła już ze szpitala, ale jest częściowo sparaliżowana - nie przez pół, jednak mówić jej trudno, źle usta otwiera itd. Byliśmy w baraku znośnym, teraz mamy najęte b[ardzo] drogie choć ciasne, ale własne mieszkanie u Kozaka. Wody tu dużo i chleba dużo, stołowa dobra i ludzie syci ..... dobrotliwi.

Tylko wyprzedajemy się w strasznie szybkim tempie. - Wczoraj sprzedałam - sympatycznej zresztą doktorce - suknię srebrzystą Mamusi, którą tak bardzo chciałam sobie zatrzymać.

W sklepie sprzedaje się krupy, masło, margarynę, mąkę grochową, ryby solone, po troszkę lecz tanio, także cukierki.

Janusia złagodniała względem mnie. Do Nisi nie pisała o Mamie. Bardzo Mama jest biedna i choć przeważnie drzemie, ale biedna, że nie może powiedzieć wszystkiego co chce.

Gdzie Ty, Mamusiu, czy z Jadzią?

Moja droga, najukochańsza - ściskam Cię

Hyszka

/Dopisek z marginesów:
1/ Może Bóg dalej cudem nas utrzyma.
2/ Z innych okolic większość zabrali/.

~~Uwaga: połączyć z relacją Anny M. i Marii Sambor~~ Archiwum Wschodnie 68

Stanisław Małachowski

Nazywam się Stanisław Jaksa-Małachowski, urodzony 9 maja 1931r. we wsi Turówka w woj. tarnopolskim na Podolu. Pamiętam dni, które nastąpiły po wybuchu wojny, która była zaskoczeniem dla dorosłych, wśród których panowała wówczas duża nerwowość. Najbardziej mi się utrwaliły dwa momenty: po pierwsze - tłum uciekinierów, który tą właśnie częścią Polski zmierzał do Zaleszczyk - do ówczesnej granicy Polski i ~~przez nasz majątek~~ i w naszym majątku zatrzymywały się ogromne ilości i cywilów i wojskowych, które zmierzały w tamtym kierunku. Wówczas jeszcze ten ruch ludności nie charakteryzował się ani żadnym popłochem ani żadnym tragizmem. To, co zapamiętałem, to nastrój jakiegoś entuzjazmu: my tu zaraz wrócimy i zrobimy porządek. Drugi moment - to samoloty 17 września, ~~/o dacie tej wyprawie później się dowiedziałem/~~. Pamiętam te lecące samoloty i zaraz potem kosjan, którzy w znanych nam z wielu opisów strojach i uniformach wkroczyli. Samoloty były oczywiście rosyjskie - transportowe lub bombowce. Zobaczyliśmy te lecące na zachód samoloty siedząc z bratem na orzechu - zrywaliśmy orzechy, ~~i z tego drzewa oglądaliśmy te klucze samolotów.~~ lecące na zachód. Był to zapewne jeden z elementów tej inwazji. Wojska wkroczyły wkrótce potem - pamiętam dokładnie te spiczaste czapki rewolucyjne i autentycznie - karabiny na sznurkach. A później przyszedł już czas bardzo nerwowy; wyrzucenie z majątku, gwałtowny wyjazd do rodziców mojej matki, a stamtąd znowu do Tarnopola. Odbywało się to już w atmosferze i strachu i rozpaczy i ze świadomością, że wszystko się zostawia i prawdopodobnie to wszystko, co się zostawia, to już zginie bezpowrotnie. Nie pamiętam, kto nas wyrzucał, pamiętam tylko jakieś mundury i ogromną awanturę o to, gdzie jest ojciec (ojca wtedy z nami nie było). O ile ~~się wiem~~ wiem, ojciec brał udział w kampanii wrześniowej, a potem się ukrywał. W czasie rewizji odnaleziono niektóre stare mundury ojca - jeszcze z I-ej wojny światowej, znaleziono szablę kawaleryjską i wszystkie inne akcesoria - części składowe umundurowania i uzbrojenia, które były w domu. Natychmiast więc stało się jasne, że ojciec (lub) mężczyzna (mieszka tym, który jest w domu) jest wojskowym - i nie ma go teraz. Nie wiem, jaki był przebieg rozmów matki z nimi. Z Turówki wyjechaliśmy do majątku Czernielów - do moich dziadków, a z Czernielowa do Tarnopola. Był to chyba przełom września i

października. W Tarnopolu musieliśmy się rozdzielić, bo było nas sporo: moja matka z trojgiem dzieci i w ciąży, rodzice mojej matki. W Tarnopolu zajechaliśmy do rodziny mojego ojca, tzn. jego matki, która mieszkała z dwiema córkami: Janiną i z ciocią Nisią - osobą prawie niewidomą, ale niesłychanie opiekuńczą wobec otoczenia. Moja matka zamieszkała z Tadziem w wynajętym mieszkaniu, Anusia u matki mojej matki, a ja - będąc od dzieciństwa pupilkiem swojej babki Ludgardy Małachowskiej - zamieszkałem u niej. Ojciec wrócił późną jesienią, ale nadal się ukrywał, nie wychodził na ulicę i unikał wszelkich kontaktów. Trwało to do 10 grudnia, czyli do dnia, kiedy przyszli w nocy po ojca. Odnoszę wrażenie, że ojciec był przygotowany do tego aresztowania, bo jak nastąpiło to nocne - typowe dla tamtych czasów - łomotanie do drzwi, to ojciec był ubrany. Oczywiście aresztowanie poprzedzone rewizją, wszystkie dzieci też musiały wstać ze swoich sienników, które leżały na podłodze (mieszkanie było niezbyt obszerne i już częściowo zarekwirowane przez oficera radzieckiego), staliśmy z moim bratem pod ścianą z rękami podniesionymi do góry. Po rewizji zabrali ojca i był to ostatni z nim kontakt. Później przychodziły tylko jakieś wiadomości od niego. Z opowiadań matki wiem, że ostatnia wiadomość od ojca bezpośrednia była z Charkowa. Przez jakiś czas był na pewne w więzieniu w Tarnopolu, później właśnie z Charkowa, który był znany jako punkt rozdzielczy do innych miejsc docelowych. Wymieniało się wówczas trzy miejscowości: Katyń, Kozielsk i Starobielsk. Później otrzymywaliśmy jakieś wiadomości o ojcu bardzo okrężną drogą - ale już do Kazachstanu. Matka nigdy się nie zwierzała, skąd pochodziły te wiadomości i jakiego są rodzaju, nie dawała po sobie poznać, co przeżywa. Była zawsze niesłychanie pogodna i starała się tylko jakoś nas przy sobie utrzymać. Pamiętam, że do ostatniej chwili wszystko robiła, żeby tylko te dzieci wyżyły. Wszystkie informacje zachowywała dla siebie - przypuszczam, że chciała nam zaoszczędzić tych przekazów i rozmów na ten mat swoich planów i przeżyć.

Wracając do Tarnopola w 39r. - następnym wydarzeniem było urodzenie naszej najmłodszej siostrzyczki Jadwisi - w noc sylwestrową z 39/40r. Tak rozdzieleni mieszkaliśmy do 13 kwietnia. W nocy tego dnia przyszli w dwa punkty: do rodziny mojego ojca, czyli do nas i do mojej matki. I wtedy moja matka - nie chcąc rozdzielać rodziny - wzięła ze sobą również Anusię /która mieszkała u jej matki/. Matka trafiła wiłocznie na bardziej "ludzki" skład tych aresztujących, gdyż dali jej więcej czasu na spakowanie się i wzięła więcej rzeczy. [Ze mną i z moją babką u nas] odbywało się to bardzo szybko: chcieli bowiem zabrać babkę i mnie - czyli najbliższe osoby mojego ojca. Ponieważ babka moja była już w zaawansowanym wieku, więc siostra ojca - Janina - dobrowolnie pojechała z nami, bo nie chciała matki samej zostawić i trochę na siłę zabrała się z nami. Ona zresztą spakowała trochę rzeczy, które zabraliśmy ze sobą. Jechaliśmy tym samym transportem, co matka, ale w innym wagonie. Ten kontakt z nią utrzymał się w czasie całej drogi i jakiś czas później. Po 17 dniach jazdy odczepiali kolejno wagony w obwodzie pawłodarskim i zostawiali kolejno na różnych stacjach, a później furami wywozili nas do różnych kołchozów czy sowchozów. W czasie drogi zatrzymywaliśmy się i wysiadali - dla potrzeb fizjologicznych, ale było to zawsze pod nadzorem strażnika. Nie pamiętam trasy, którą jechaliśmy, i warunków w jakich jechaliśmy, ani składu wagonu. Normalną rzeczą były codzienne modlitwy, śpiewy religijne i były panie, które to inicjowały. Tak naprawdę to dopiero w tym wagonie nauczyłem się Litanii na pamięć. W wagonie tym byli Polacy i Żydzi. W naszym wagonie była rodzina żydowska składająca się z matki i trzech lub 4 córek. Nazywali się Feiholzowie. Nie pamiętam, dlaczego oni właściwie zostali wywiezieni. W ich zachowaniu były odczuwalne cechy osobowości charakterystyczne dla tej rasy, tzn. rozbieżności wyznaniowe, osobowość żydowska, którą jeszcze pamiętam z okresu przedwojennego, zwyczaj sposób mówienia itp. To wszystko było odczuwalne na każdym kroku w wagonie. Nie byli oni lubiani i cały czas była jakaś bariera; byli traktowani jako coś gorszego, a nie współtowarzysze - razem wywożeni. W naszym lub sąsiednim wagonie jechała rodzina pp. Samborów - on był kolejarzem

kontakt z tą rodziną.

Z Pawłodarze ~~my~~ zostaliśmy przewiezieni furami trafili najpierw do kołchozu, gdzie mieszkaliśmy do późnej jesieni, a następnie do sąsiedniego sowchozu. I jedna i druga miejscowość była położona nad Irtyszem. Ten sowchoz nosił nazwę roboczą - Trzecia ferma. Wszystko to było położone w powiecie, który nazywał się Dżou-Żół-uduk - kazachska nazwa, która oznacza - Żółta Studnia ~~Czerwona Studnia,?~~, a Kizył-Sum - to była ~~Żółta Studnia~~ Czerwona Rzeka/. Podobno, tam w czasie Rewolucji wrzucano tam zabitych ludzi, woda w ~~studni~~ rzece zabarwiła się na czerwono - i stąd nazwa. Ale to może być tylko legenda.

Tam mieszkali wyłącznie Kazachowie, jako główny trzon ludności. W niewielkiej ilości byli Rosjanie - wolni, i trochę Kirgizów. - z jakichś powodów też tam przesiedlonych.

W kołchozie mieszkaliśmy rozkwaterowani po domach kołchoźników i traktowani jako zło konieczne - jako dokwaterowani i nie można było nawiązać jakichś bliższych kontaktów, te kontakty sprowadzały się właściwie tylko do handlu. Tam się sprzedawało właściwie wszystko, - w momentach, kiedy brakowało jedzenia. Szło przede wszystkim złoto - obrączki, pierścionki, monety. Monety - to była zapłata najchętniej przyjmowana przez Kazachów, gdyż używali ich jako ozdób dla dzieci do narodowych strojów. Tam dziecko im więcej monet miało na szyi lub na stroju - tym było bogatsze i rodzina się szczyciła, że potrafiła dziecko tak bogato ubrać. Jak skończyły się monety, to poszły na handel kosztowności, i to z tego faktu, że za złotą obrączkę dostawało się bochenek chleba.

W lecie 40r. moja ciotka nawiązała kontakt z moją matką - do tej pory byliśmy rozdzieleni.

Po pewnym czasie połączyliśmy się i potem byliśmy razem. Pamiętam, że moja matka chodziła po żywność, a ściślej mówiąc - po mąkę, - bardzo daleko. Chodziła tam z moim bratem i pamiętam dokładnie, jak się odbywało przenoszenie tej mąki. Była jej większa ilość /z przydziału/ i było to za ciężko na jeden raz. Niosła to w dwóch pakunkach - jeden pakunek przenosiła paręset metrów do przodu, wracała po poprzedni, ten przenosiła dalej, wracała po poprzedni i tak się to odbywało. Było to napewno kilkanaście kilometrów.

Wtedy też po raz pierwszy spotkałem się z tym, że jeżeli nie ma mydła, to moja matka do prania robiła ług z popiołu: popiół zalewała wodą, to musiało trochę odstać i te składniki zasadowe zawarte w popiele wykorzystywała i prała w nich bieliznę. Naturalnie nie było to normalne czyszczenie bielizny, potym bielizna była szara, ale to w każdym razie tę bieliznę dezynfekowało. Najbardziej dokuczały pchły i pluskwy. Wszy też były. Tam też pierwszy raz zetknąłem się z tym, jak się Kazachowie przygotowują do zimy. i jak smażą bursaki - kulki w rodzaju pączków, tylko mniejsze. Te kuleczki były robione z mąki - nie na drożdżach i nie na oleju, tylko na ajranie. Ajran - to jest to, co u nas jest znane jako kefir lub jogurt, czyli było to mleko kwaśne zakwaszane poprzednim ajranem: mleko się gotowało, studziło się je do temperatury pokojowej i zakwaszało poprzednim ajranem. To mleko było zresztą bardzo smaczne i bardzo rzeźwiące w czasie upałów i charakterystyczne, że nigdy nie podchodziło serwatką, a starsze robiło się bardziej kwaśne i miało cechy drożdży: zaczynało wytwarzać w sobie jakiś gaz, rosło i na tym etapie fermentowania mleka używane było jako zaczyn do ciasta. Mąką z tym ajranem, zaprawianą niewielką ilością wody - wyrabiało się jak ciasto i to się smażyło w maśle. Masło nie było jedzone nigdy do chleba, tylko było zbierane do smażenia tych bursaków przez cały rok. - to był jedyny cel magazynowania masła. Ponieważ nie było warunków do odpowiedniego magazynowania tego masła, więc było ono zjełczałe i niesmaczne, ale później przetopione - służyło - tak jak pączki - do smażenia bursaków. Po wystudzeniu bursaki te były sypane w worki, zawiązywane, umieszczane na strychu, gdzieś wysoko, żeby gryzonie się nie dostały, i służyły jako zapas jedzenia na zimę. Jak przychodziły mrozy, to na kość to zamarzało i stanowiło na zimę. Po rozmrożeniu smakowały jak bardzo czerstwy pączek. Drugą potrawę przyrządzano z serów: z odwarzonego ajranu robiono zsiry masę serową i z niej robiono w dłoniach takie "zgnioty" - ściskało się w dłoniach kawałek takiej masy i z tego wychodził taki jakiś podłużny kształt, z odciśniętymi palcami i liniami papilarnymi. Następnie to się suszyło na słońcu i było to straszliwie kwaśne - cytryna do potęgi trzeciej.

... i zostawiali na zimę. Nie pamiętam

nazwy tej potrawy.

U nas główną potrawą były kluski. My z bratem trochę się zabawiali łowieniem ryb, których było bardzo dużo, bo rzeki były czyste. Były też raki i tego można było nałowić w sposób nieskomplikowany niesłychaną ilość. To zasilało trochę nasze pożywienie.

Mama wtedy pracowała. Utrudnienia w tych kołchozach i sowchozach były dwojakiego rodzaju: wypas bydła i praca przy zbiorach. Niewiele tam było tych zbiorów i były one takie niekonwencjonalne: w Kazachstanie znacznie później wprowadzono powszechną uprawę zbóż, zwłaszcza pszenicy. Wtedy głównie uprawiano proso, trochę pszenicy, ~~tr~~ dużo słonecznika i dużo bataty /?/. Olej słonecznikowy był, makuch był i przez następne lata - gdzieś zdobywany - bardzo nas zasilał. Jedliśmy ten makuch jak najlepszą chałwę. Była też uprawa niektórych roślin okopowych: trochę ziemniaka, trochę buraka.

Po wyjeździe z tego kołchozu, gdzie była matka, a więc po połączeniu całej rodziny, a była to już późna jesień 40r., wszyscy Polacy zostali umieszczeni w sowchozie w baraku zwanym "cielętnikiem". Było tam ok. 10 lub 15 rodzin. Był to budynek przeznaczony do wychowu małych cieląt. Oczywiście nie był on przystosowany ani do warunków zimowych, ani do mieszkania, trzeba więc było palić i ogrzewać. Wtedy właśnie wyszło nasze pierwsze niedostosowanie do tego klimatu.... W zimie pojawili się w naszym cielętniku uciekinierzy z Żagrów lub z jakichś kopalń / z obozów pracy/, którzy uciekali do Polski. Nie było wtedy jeszcze żadnej armii polskiej. Z jakich obozów byli - nie pamiętam, ale szli oczywiście ze wschodu. Jak się dowiadywali, że są tu Polacy, jaka była ich organizacja - trudno powiedzieć, ale musiały tam działać jakieś kontakty, musiały wiadomości krążyć, bo trafiali do Polaków. Po paru dniach odpoczynku szli dalej.... Ja pamiętam kilkanaście osób w kilku grupach - głównie mężczyźni, ale były i kobiety. ~~głównie mężczyźni~~ te ucieczki były w zimie. Obecnie nie mogę sobie uzmysłowić, jak w czasie tej ostrej zimy oni sobie wyobrażali przejście, ten marsz dalej, jak oni tego dokonali - tego sobie zupełnie nie mogę wyobrazić. Przecież tam burze śnieżne trwały kilka dni... widoczność była na kilka metrów, oczu nie można było otworzyć. wszystko się odmrażało....

To była zupełna beznadzieja....

Mieliśmy zresztą dowód tego sami, kiedy w czasie zimy zabrakło nam w cielętniku opału i żywności i jedna Żydówka - ta matka Teiholzowa - poszła, jak nas zasypało /nikt prócz niej nie chciał wyjść/, żeby przejść może 50, może 100 metrów - do budynku, w którym była dyrekcja sowchozu, - i nie doszła do tego budynku, tylko do słupa telegraficznego, który był za tym budynkiem - już znacznie oddalony. Widocznie jednak pamiętała ten słup, zawróciła i w końcu nas uratowała, sama natomiast straciła dłonie, a właściwie wszystkie palce. Tak to było z tą Teiholzową - zawsze pogardzaną i źle traktowaną, a która jedyna zdobyła się na wyjście z baraku. Było to dla nas zbawienne, bo od razu zjawili się Kazachowie, którzy się poruszali w tej burzy śnieżnej z wrodzoną dla siebie wprawą, /dla nich to była rzecz zupełnie normalna/ i nas wszystkich powynosili z baraku - jak tłumoki - na plecach. Rozmieścili nas w tym budynku administracyjnym - w sali teatralno-widowiskowej, gdzie byliśmy jakiś czas. Po tym buraniu ~~[illegible]~~ umieszczono nas w chatach kazachskich. Nasza rodzina mieszkała wspólnie z Teiholzami - pamiętam jeszcze wojny przy kuchni. - o miejsce przy na kuchni.

Mama wtedy nie pracowała i w ogóle nie pamiętam, czy w zimie dorośli pracowali, a jeśli tak, to przy jakiej pracy. Z całą pewnością chodzili do odśnieżania i do tego typu prac publicznych, ale poza tym nic innego - poza karmieniem bydła - nie można było robić. Tak dotrwaliśmy do wiosny 41 roku. Z tego okresu pamiętam jedno wydarzenie, które jest moim zdaniem bardzo typowe dla osobowości mojej siostry. Anusia w ramach swoich obowiązków rodzinnych ~~[illegible]~~ chodziła po mleko dla tej najmłodszej naszej siostry. Kiedyś wracając przez taki stawek zamarznięty, czy dół z wodą, /skracając sobie drogę/ lód zarwał się pod nią, bo ~~lód~~ już był dość cienki, ~~ona~~ wpadła nogami pod lód i nie mogła sama wyjść. Więc wołała, wołała, wołała, w końcu usłyszeliśmy i pamiętam, że mój starszy brat wybiegł po nią i musiał ją odrywać od tego lodu, bo już zamarzała w nim. Ale charakterystyczne właśnie dla jej osobowości było to, że mleka nie wypuściła -

rozcieranie, to się skończyło jakimś dużym przeziębieniem, ale jakoś wyszła z tego cało. To oczywiście był jeden z epizodów, takich epizodów było mnóstwo. Był to czas, kiedy jeszcze był kontakt z Polską, jeszcze był kontakt z krajem, z rodziną, przychodziły listy i przychodziły paczki, przy czym rodzina w kraju - trochę spełniając nasze prośby - (a więc tych zesłanych), a trochę kierując się intuicją i własnym doświadczeniem - przysyłała nam artykuły dosyć trwałe, trudno psujące się, m.in. słoninę i mydło - jako artykuł jeden z najpotrzebniejszych. I ta słonina, a czasami i mydło, była przedmiotem nieoczekiwanych, czasem zabawnych kolizji z miejscowymi Kazachami, którzy wtedy jeszcze, a zwłaszcza starsze pokolenie, bardzo głęboko wyznawało swoją wiarę, tzn. islam i dla nich oczywiście wieprzowina było to coś zupełnie zakazanego i nawet niedotykalnego. Ale przy tym byli ciekawi i zawsze asystowali przy rozpakowywaniu paczek i jak tylko trafiali na słoninę, to była ogromna awantura i wrzaski i uciekali z tego pokoju, w którym się paczkę rozpakowywało. Nas to nawet trochę rozśmieszało, że oni tak gwałtownie reagują na to, co dla nas było zupełnie normalnym przedmiotem czy artykułem. A oni się tego po prostu bali jak ognia. Najzabawniejsze kiedyś było to, jak kiedyś jedna Kazachszka, złapawszy kawałek mydła do ręki / z takiego bloku zwykłego mydła do prania/ przeraziła się, że to jest wieprzowina i z okrzykiem: "czuszka, czuszka" /tzn. świnia/ rzuciła to mydło i uciekła z pokoju. W ten sposób uratowaliśmy ten kawałek od podziału, bo do tego dochodziło, że ci gospodarze uznawali, że powinniśmy się z nimi tymi artykułami dzielić. Zresztą takie były zwyczaje i czasami trzeba się było z nimi dzielić. Pamiętam również, że później, jak się zrobiło troszkę cieplej, po roztopach, przedmiotem mojego zainteresowania stał się cmentarz Kazachów - bardzo typowy. Dopiero wiele lat później uzmysłowiłem sobie ogromne podobieństwo tego cmentarza do cmentarzy, które widziałem w krajach arabskich, z tym, że oczywiście nie ma tam porównania w bogactwie tych cmentarzy, w ich rozmiarze, np. z cmentarzami egipskimi /w Kairze - Miasto Umarłych/. W Kazachstanie natomiast każdy grób był jakby małym budynkiem bez dachu, a więc po prostu mury z wejściem. I to była mogiła. Często z siostrą i bratem zaglądaliśmy na te cmentarze, kie

rowani ciekawością, jak się tych zmarłych tam chowa. Słyszeliśmy, że się ich chowa w pozycji siedzącej, ale nigdy tego nie stwierdziliśmy, nigdy nie byliśmy obecni przy takim pogrzebie, nie mniej ta odmienność tamtej kultury bardzo nas interesowała - było to niesłychanie ciekawe. I jedno jest pewne, że istnienie tych cmentarzy, i właśnie takich, a więc islamskich, jeszcze raz potwierdzają to, że starsze pokolenie Kazachów było wierzące, aczkolwiek nie mieli świątyń, nie mieli swoich kapłanów, nie mieli naturalnie obrządku żadnego, tym nie mniej byli wierzącymi. Młodsi Kazachowie byli już zdecydowanie ateistami, czy z przekonania, czy w związku z tym, że przyniósł to czas i odpowiednie zmiany społeczne, ale tak było.

I tak przebiegała wiosna 4 roku i wczesnym latem przyszło rozporządzenie, że należy nas przerzucić w inne odcinki syberyjskie, w inne odcinki Kazachstanu. Widocznie jednak ta masa Polaków, która tam przeżyła już jedną zimę, została prawdopodobnie uznana jako dostatecznie zaaklimatyzowaną siłą roboczą i trzeba ją było wykorzystać. I to już nie tylko w kołchozach, ale również na innych odcinkach tego życia gospodarczego.

I wtedy zaczęła się podróż. Z trudnością teraz przypominałbym sobie jaką trasą odbywała się ta podróż, jedno jest pewne, że byliśmy przewożeni samochodami skrzyniowymi, bez żadnych plandek. Samochody te były o tyle ciekawe, że były napędzane gazem /na tzw. Holzgaz/ wytwarzanym z drewna - proces wytwarzania gazu z drzewa następował w samym samochodzie: samochód był wyposażony w dwa ogrone kotły umieszczone po obu stronach kabiny kierowcy, tam było zarzewie jakiegoś ognia i do tego kotła ładowało się świeżo ścinane zielone, surowe drzewo w klockach. I to drzewo nagrzewając się i powoli, stopniowo ulegając spalaniu wydzielało ten niezbędny gaz.

(II taśma)

Samochody te - zamiast przy stacji benzynowej - zatrzymywały się w lesie, wychodził kierowca z pomocnikiem, ścinali najczęściej brzozy, bo chyba były najlepszym surowcem do wytwarzania tego gazu, cięli je na klocki i wrzucali do kotłów, chociaż zawsze mieli jakiś zapas drzewa w samochodzie.

W mojej pamięci zanotowałem, że jadąc stamtąd bardzo długo, dojechaliśmy do Omska. Byliśmy tam stosunkowo krótko, a stamtąd zostaliśmy przewiezieni do Jermaku położonego nad Irtyszem.

Pamiętam taki epizod, jak mama z Anusią wracały z Pawłodaru przez jakaś

zamarzającą topiel, czy bajora na stepie i potem opowiadały, że xxx sobie szły i tak sobie ~~pojękiwały~~ z bólu i zimna. ("pomiaukiwały") - tak to wtedy było powiedziane. W każdym razie musiało to być bardzo trudne, zarówno dla mojej matki, jak i siostry, która była wtedy małym dzieckiem. Jak to było z chorobą mamy, to w tej chwili nie bardzo pamiętam. Pamiętam natomiast, że mama pracowała w szpitalu w Jermaku - chyba jako jakaś pomoc szpitalna. Została tam zatrudniona nie wprost, tylko był to jakby dalszy ciąg choroby pawłodarskiej, w Jermaku też znalazła się w szpitalu i tam wykorzystano jej umiejętności. Moja matka była osobą nieskychanie aktywną, nigdy bierną i szczególnie chętnie pomagającą otoczeniu. I dlatego przekonano się, że, mimo iż była chora, udzielała pomocy innym chorym i przez jakiś czas później ją zatrzymano. Wiem również, że matka w tym właśnie szpitalu doznała przepukliny brzusznej - przy dźwiganiu jakiegoś chorego, po czasie później rozwijała się, nie była leczona, operowana i było widoczne zupełnie wyraźnie - matka miała figurę taką, jakby była w ciąży., bo ta przepuklina spowodowała taką deformację brzucha. W Jermaku byliśmy z rodziną pp. Gierałtowskich, z którymi później mieszkaliśmy znowu w ostatnim naszym miejscu pobytu w Kazachstanie - w Akbasarze - w tym samym baraku. Rodzina ta składała się z matki i syna. Ona, o ile pamiętam, była żoną policjanta, syn był starszy odemnie o ok. 2 lata miał na imię Eyszard. Ciocia Janusi w tym czasie jeszcze w Jermaku nie było, została ona z tamtego sowchozu lub po drodze do Omska oddzielona od nas i oddelegowana do innej miejscowości - do pracy albo w cegielni albo przy budowie kolei. Z ciocią Janusią połączyliśmy się ponownie dopiero w Jesilu. W Jermaku byliśmy więc z moją matką i matką mego ojca. Ja działałem głównie nad Irtyszem i uczyłem się przedziwnych sztuczek z łapaniem ryb. Tam się nauczyłem łapać ryby niewodem, na taką dziwną wielohaczykową wędkę - nie pamiętam jak się ten przyrząd nazywał, ale można było na niego nałapać wiele ryb. Napewno nie ciągnęło mnie do tego, żeby siedzieć przy dzieciach, przy rodzinie, nie myślałem o tym, że istnieje szkoła, że można się uczyć, sięgać do jakichś wiadomości. Był to jakiś przedziwny okres - może naturalny, może to była jakaś część mojej osobowości, ale najchętniej korzystałem z tego, co przynosiło otoczenie - jak

Bardzo mi wtedy pomagały opowieści o Jermaku; Jermak to był taki bohater - jeden ze zdobywców Syberii, który właśnie w tym miejscu utonął w Irtysz i stąd miasto zostało nazwane jego imieniem. Był to jeden z tych dowódców wojsk carskich, którzy ujarzmiali, opanowywali Syberię. Jermak jest opisywany w historii Rosji i spotykany w literaturze. To była dosyć fascynująca historia, a opowiadali o niej Rosjanie, których w Jermaku było dużo. Było ich może więcej niż Kazachów. - miasto to leży w końcu na pograniczu Syberii i Kazachstanu. Wśród Rosjan byli ludzie, którzy byli zasiedziali tam już od pokoleń albo zostali skierowani w tamte strony już za czasów władzy radzieckiej - do rozwoju gospodarki, rozbudowy, zasiedlania..., a trzecią grupą byli Rosjanie, którzy dostali się tam już w czasie wojny. W tej ostatniej grupie byli Rosjanie przewiezieni z terenów zagrożonych przez Niemców, np. byli leningradczycy, byli mieszkańcy Ukrainy i Białorusi.... Jeśli chodzi o wybuch wojny niemiecko-radzieckiej to był ten moment, który mi się niczym nie utrwalił w pamięci. - w odróżnieniu od tego, czym była wiadomość i data zakończenia wojny. Natomiast wraz z wybuchem wojny niemiecko-rosyjskiej natychmiast urwała się korespondencja i paczki od rodziny z Polski. Poza tym fakt wybuchu wojny był przyczyną naszego kolejnego przeniesienia - właśnie do Jesilu gdyż wtedy gwałtownie wzrosła potrzeba budowy nowych linii kolejowych, gwałtownie zaczęto je uzbrajać w stacje, w parowozownie, kotłownie itd. i wszystkich tych, którzy mogli być przeniesieni - przewieziono nas do tych punktów. Miejscowością do której nas przewieziono był Jesil. Tam natychmiast wszyscy dorośli i starsza młodzież została zapędzona do roboty przy budowie linii kolejowej. Oczywiście praca odbywała się metodami bardzo tradycyjnymi - wszystko ręcznie, żadnego umaszynowienia, a więc - znane z obrazków filmowych, a dla nas z autopsji - ręczne przenoszenie szyn kleszczami /taką technikę oglądamy dzisiaj na westernach ze starych czasów/. Tam były takie same kleszcze, takie same młoty do wbijania gwoździ - tzw. kastyli, tak samo były układane podkłady, takimi samymi narzędziami były te podkłady podbijane tłuczniem - więc technika absolutnie ta sama.

Dotarliśmy tam w lecie 41r. Przy budowie kolei pracowała matka i ciotka. Była to ciężka praca, napewno ponad siły ludzkie, tym bardziej kobiece, a tam głównie kobiety to robiły, bo mężczyzn tam prawie nie było. Ci, którzy tam się znajdywali to byli to albo Kazachowie, albo Rosjanie i naturalnie był to nadzór, a więc nigdy nie występowali jako siła robocza. Ja nie pamiętam takiego obrazku, żeby wśród tych dźwigających szyny był jakiś mężczyzna. Większość mężczyzn poszła do wojska, a ci, którzy zostali byli na stanowiskach nadzorczych.

W Jesiłu zaczęło się harcerstwo. Ja się tym nie tylko bardzo przejąłem i bardzo się w to zaangażowałem, ale się w pewnym sensie wyspecjalizowałem. W Jesiłu była dosyć duża grupa polaków, a w tym bardzo dużo młodzieży - bardzo dużo chłopców, mniej więcej naszych rówieśników. Starsi z nich, a więc ci, którzy mieli kontakt z przedwojennym harcerstwem, organizowali już nie tylko regularne drużyny z zastępami, z planem pracy, z wszelkimi zajęciami, ale ponadto towarzyszyły temu bardzo duże aktywności zabawowo-sportowe. Jedną z konkurencji sportowych, bardzo chętnie organizowanych i chętnie oglądanych przez miejscowych Polaków i Rosjan było coś w rodzaju biegu z przeszkodami. Jedną z najtrudniejszych przeszkód w tym biegu był płot. Ale to nie był taki zwykły płot, tylko płot, który chronił tory kolejowe przed zaspami śnieżnymi. Stał on na wysokości mniej więcej 3 do 4 metrów, zbudowany z ogromnych słupów z podporami, (słupy były) grubości naszych słupów telegraficznych, a samo pokrycie płotu stanowiły poprzecznie (poziomo) białe deski i po tych deskach się cudownie wchodziło, jak po drabinie - i to była jedna z przeszkód. Wchodziło się po tych deskach jak po pionowej drabinie, między deskami były przerwy szerokości desek. Pamiętam jeszcze, że preferowana była technika biegu taka, aby nie oddychać ustami tylko nosem, tak że niektórzy uczestnicy biegu, nie chcąc naruszyć tej zasady, kneblowali sobie dosłownie usta chusteczkami, żeby tylko nie oddychać ustami. To był bardzo ciekawy obrazek - biegnący chłopcy z białymi kulami w ustach z chusteczek. Do harcerstwa należał kto chciał. Odczuwałem tylko zawsze gradację wiekową, ale inne - ze względu na pochodzenie, czy z innych powodów - nie. Jeżeli były

tylko w jakichś drobnych konfliktach, których ja nie ~~xxxxxxxxxx~~ odczuwałem. Natomiast był to okres organizowania się i życie w bandach. Różnie to było: Polacy byli czasem razem, czasem z Rosjanami, zależało to od okoliczności. Była tam bowiem stacja kolejowa, był kołchoz i było osiedle robotnicze. I zależnie od konfliktu, jaki się rodził między tymi grupami młodzieży, ~~to~~ te grupy odpowiednio się łączyły. A więc były ~~xxx~~ wojny między tzw. miastem a stacją, lub między miastem a kołchozem, ~~xxxxxxxxx~~ a stacja się opowiadała albo po jednej albo po drugiej stronie. Te wojny, jak na tę grupę wiekową, miały dość ostry charakter - tam w robocie były i mocne pałki, pręty metalowe, ale ~~xxxxxxxxxx~~ najczęstszą bronią były kastyle - czyli gwoździe, którymi się przybija szyny do podkładów. Ja nawet miałem ~~taką~~ "przyjemność" dostać w łeb takim kastylem i to dość groźnie, bo w skroń, tak że blizna mała pozostała do dzisiaj. Ale szczęśliwie się zakończyło jakimś oszołomieniem. To mnie jednak pobudziło do energicznych kroków, tzn. okropnie się mściłem na tej grupie ~~- a była to grupa kołchozowa~~ kołchozowej. ze str. 18 Drugą charakterystyczną cechą pobytu w Jesilu był kontakt z rzeką - Iszimem, przy czym ~~xxxx~~ rzeka od Jesilu była oddalona o parę kilometrów. Przez rzekę przechodziła linia kolejowa łącząca chyba Akmolińsk z Semipałatyńskiem. Życie skupiało się wokół tej rzeki i linii kolejowej. Rzeka dawała ryby i raki, robiliśmy długie, nawet całotygodniowe wypady nad rzekę - było to nie tylko przyjemne i bogate w przeżycia, ale i owocne, bo się przynosiło coś do jedzenia. Wtedy się nauczyłem łapać szczupaki "na oczku" - dzisiaj tego nikt nie robi, być może jest to uznawane za kłusownictwo, zresztą nie ma takich warunków, żeby szczupaka łapać na oko. Polega to na tym, że szczupak w ciepłej wodzie, silnie nasłonecznionej, stoi bez ruchu tuż pod powierzchnią i trzeba mu wtedy za skrzela przeciągnąć pętlę zaciskającą się, zrobioną ze szczeciny końskiej - wyrwanej oczywiście koniowi z ogona, co też było groźne i trudne - jak takiemu koniowi dobrać się do ogona. Zresztą tych koni było tam stosunkowo mało, tak że był to bardzo drogi, bardzo cenny surowiec. Takie oczko z włosia końskiego na wędzisku trzeba było bardzo delikatnie przeciągnąć przez łeb szczupaka poza skrzela, później szybko szarpnąć do góry i ryba zostawała w pętli. To chyba był najwyższy stopień

pień wtajemniczenia - umieć szczupaka złapać na pętlę. Ja chodziłem nad rzekę ze swoimi rówieśnikami. Tadzio raczej trzymał się domu, bo wydaje mi się, że już wtedy prawdopodobnie był odczuwał chorobę i nie czuł się na siłach, a nie chciał się do tego przyznać. I może to wpływało, a może inne usposobienie - myśmy się tak różnili usposobieniem jak ogień i woda. Ale w harcerstwie Tadzio był starszy i wodził prym. - on był wodzem i ja mu tego bardzo zazdrościłem. Coś musiałem robić lepiej niż inni i wtedy nauczyłem się robić lilijki harcerskie. Robiłem je z puszek od konserw, psując bardzo skutecznie nożyczki matce. Wycinałem z puszki kształt lilijki, następnie wyginałem ją odpowiednio, tak że ona miała bardzo prawidłowy wygląd. Pierwszą taką lilijkę własnej roboty przypiąłem Tadziowi na koszuli - już po jego śmierci, tuż przed pogrzebem. Uwarł i został pochowany z tym jedynym insygnalnym symbolem harcerskim, jaki tam był.

Linia kolejowa nad rzeką też była życiodajna, mianowicie, pociągi jadące tą linią kolejową, wiozące węgiel, musiały zwolnić przed mostem i to było miejsce, w którym trzeba było z tych węglarek zrzucić jak najwięcej węgla. Im więcej węgla zrzuciło się, tym więcej było zapasu na zimę. Wracając jeszcze do pierwszej zimy spędzonej w cielętniku, myśmy tam potrosze tak przymarzali, a nawet zamarzali w tym cielętniku, bo zupełnie nie wiedzieliśmy, jak się do zimy przygotować. Nawet paromiesięczne obserwacje miejscowych Kazachów nie dały nam właściwego doświadczenia. Kazachowie nie mieli węgla, lub mieli go bardzo mało, palili kiziakiem - czyli nawozem krowim przerobionym. Świeży nawóz zbierało się, wrzucało do dołu, mieszało się ~~[illegible]~~ nogami ze wszystkim, co się dało palić, i robiło się z tego brykiety - i tego myśmy nie umieli robić i nie mieliśmy oczywiście opału. A w Jesilu już wiedzieliśmy, że trzeba się do zimy przygotować, że zima jest ostra i długa, że jest to klimat kontynentalny i stąd była ta kradzież węgla.

Był jeszcze trzeci powód, dla którego ta droga do rzeki była dla nas bardzo ciekawa, mianowicie, trochę w bok od ~~tej trasy~~ linii kolejowej, były w stepie solanki, i w nich była zawsze najlepsza kąpiel. Były to głębokie naturalne dosyć głębokie, nigdy nie wysychające, o tak silnym zasoleniu, że każda z trzcin, które tam rosły, miała wianuszek z ~~[illegible]~~ kryształków soli. Te kąpiele były dlatego takie korzystne, że wszelkie skaleczenia, czyraki, któ-

kąpiele lecznicze, dezynfekujące bardzo skutecznie. Ja miałem skłonności do chorób płucnych, stwierdzone jeszcze przez lekarzy przed wojną, zresztą zawsze przed wojną byłem taką "ofiarą bez kości" - cherlak pod każdym względem. Np. jak wszyscy skakali gdzieś koło młockarni, to ja skoczyłem nie na słomę tylko na kocie łby, a jak wszyscy zmarzli i zamokli, to byli zdrowi, a ja się przeziębiłem, i ~~uznany byłem za cherlaka~~. Podobno zagrożenie suchotami było takie, że lekarze dawali mi tylko jeszcze parę lat życia (i nie było żadnego ratunku), stąd rodzice wywozili mnie w Karpaty w każdą jesień. Jeździł ze mną zawsze Fadzio, żebym nie był sam. Natomiast w Kazachstanie, chyba dzięki temu, że klimat kontynentalny jest suchy, tego gruźlica, czy choroby płucne nie były znane. Tam istniały tylko dwie choroby dróg oddechowych: odmrożenie płuc i to, czego świadkiem nie byłem, ale znam z opowiadań dorosłych, mianowicie - tzw. galopujące suchoty. Była to choroba gardła, która od momentu zarażenia powodowała w tamtych warunkach zgon w ciągu kilku tygodni. Zapadali na to dorośli, dzieci na to nie chorowały. Odmrożenie płuc też praktycznie było nieuleczalne, przynajmniej w tamtych warunkach. Było to zapalenie płuc w wyniku odmrożenia płuc. Ci, którzy nie potrafili wyczuć w którym momencie należy zasłonić usta i nos - ręką, czy rękawicą, aby to mroźne powietrze było przefiltrowane i ogrzane, odmrażali płuca. Choroba ta panowała powszechnie zimą 41 r.

Na wspomnianej trasie z Jesilu do Iszimu w stepie rosły krzaki kolczaste - nie pamiętam nazwy - myśmy je nazywali krzaki cukierkowe. Była to roślina przez nas poszukiwana i brutalnie wyrywana i niszczona, dlatego, że miała prawie słodkie korzenie, do tego stopnia słodkie, że myśmy te korzenie ssali, ciągli na plasterki i jedli albo handlowali jak cukierkami. Były tam też rośliny, które z ukraińska nazywaliśmy "perykotykoły" -tzn. takie turlające się po stepie, powszechnie znane na stepach ukraińskich, które rosną, następnie po dojrzeniu i uschnięciu przybierają kształt ~~takiego~~ delikatnego kulistego krzewu ~~xxkxxxxxxxxxxxxx~~ o wymiarach od piłki futbolowej do bardzo dużej piłki dziecięcej. Potem, po uschnięciu, najlżelszy ~~xxxxx~~ wiatr łamał te łodygi i one się toczyły po stepie setkami, tysiącami - to były niesamowite widoki- bo widać było taki tabun bez kurzu toczący się z wiatrem.

Inne wspomnienia z życia w gromadzie wiążą się z okresem, kiedy angażowaliśmy się do prac polowych. Po prostu całe grupy młodzieży szły albo na wykopki buraków czy ziemniaków, albo na ściranie słoneczników, czy też zbiory innych płodów rolnych. To było trochę dla zarobku, a troszkę jako przygoda. W tej naszej gromadzie ktoś rzucał hasło, że można sobie tam za darmo pojeść, można coś zarobić, i szliśmy całą gromadą piechotą, ileś tam kilometrów. Tam się mieszkało w różnego rodzaju szałasach i szopach i - do roboty. Poza tym, próbowali nas zapędzać do szkół rosyjskich. Bardzo mały procent chodził do tych szkół, ~~ale~~ ja też ~~jakiś czas~~ chodziłem - przez całe trzy dni!. Nawet dano mi chustkę pionierską i byłem pionierem i w momencie, kiedy pionierzy, w tym i ja, dostawali skopy, to więcej się do szkoły nie pokazałem. Dlaczego dzieci polskie nie chodziły przeważnie do szkoły? Otóż, te rodziny, które swoje dzieci posyłały do szkół rosyjskich, były izolowane przez resztę Polaków. Nastąpiło pomówienie o bojkot polskości, to był opór. Zarzucano osobie, która posyła dziecko do szkoły rosyjskiej, brak patriotyzmu, ruszczenie się, używano różnego stopnia epitetów i określeń. W każdym razie, suma wrażeń jest taka, że uznawano absolutnie za obowiązek patriotyczny nie chodzić do szkoły rosyjskiej. Były naturalnie próby uczenia nas po polsku, ale nie było książek, nie było podręczników, to co było, to było bardzo przypadkowo zabrane, ale wiele pań urządzało coś w rodzaju kursów czy lekcji. To było organizowane cichcem, w tajemnicy przed Rosjanami i przed sąsiadami rosyjskimi, a więc te spotkania odbywały się wieczorem, miały nawet zakamuflowany taki porządek, że w razie czego to jest zabawa, więc na podwieczorku były i karty i stroje, jakieś inne zabawki i pozorowano wtedy zabawę.

Te starsze osoby próbowały nas, dzieci, w różny sposób zachęcić do rozmawiania, do interesowania się różnymi sprawami - przez zabawy, przez konkursy, przez śpiewy, naukę wierszy polskich. Ale takich regularnych lekcji, systematycznych, nie udawało się zrobić. Były to rodzaje kursów, których zajęcia odbywały się doraźnie. Zresztą trudno było wtedy o systematyczność, bo właśnie ~~tych~~ ci dorośli, którzy chcieli nas czegoś nauczyć - pracowali od świtu do nocy na roli, więc niewiele tego

W niedziele też pracowano, bo to wojna, bo to ~~front,~~ wszystko dla frontu więc nie było dni wolnych, nie było za dużo wolnego czasu.

Pierwsze wiadomości o tworzeniu się armii polskiej przyszły wczesną wiosną 42r. Pamiętam, że w tym czasie tworzona była ewidencja wywiezionych Polaków. KKSR kursował po tych miejscowościach fotograf, który robił zdjęcia wszystkim pełnoletnim, takie zdjęcie mojej matki zachowało się zresztą do dzisiaj, i mojej babki też, były wtedy wydane paszporty z tymi zdjęciami - paszporty rosyjskie z adnotacją o obywatelstwie polskim. I wtedy przyszła wiadomość o tworzeniu się wojska polskiego. Ja tego dokładnie nie pamiętam - ten fakt nie utrwalił się w mojej pamięci. Pamiętam natomiast fakt, że moja matka pisała do Andersa z prośbą, aby starszego brata - Tadzia - przyjął do Szkoły Junaków, która to Szkoła Junaków była zorganizowana przy Armii Andersa. Przyszła zgoda, ale niestety w dzień lub dwa po śmierci Tadzia, po pogrzebie. Wtedy moja matka natychmiast napisała do Andersa ponownie, ale już w mojej sprawie - żeby mnie przyjął do Szkoły Junaków, mimo, że ja jeszcze nie miałem tego wymaganego wieku. Odpowiedź przyszła również pozytywna, tylko że już po wymarszu Andersa. Trzeba pamiętać o tym, że list wówczas szedł w jedną stronę [w granicach] dwóch - trzech miesięcy, a więc obrót korespondencji tam i z powrotem musiał trwać parę miesięcy. Tadzio zmarł w lipcu 42 r., mamusia pisała pod koniec lipca drugi list i ten list został prawdopodobnie zwrócony /jest obecnie w posiadaniu rodziny - przyp. red./, Do Armii Andersa wyjechało sporo osób, m.in. synowie p. Samborowej - obaj się dostali do armii, chociaż jeden z nich nie miał pełnych kwalifikacji zdrowotnych /krzyż/, bo w czasie pierwszej zimy odmroził nogi i miał amputowane ~~palce~~ duże palce u nóg. Mimo jednak tej ułomności został przyjęty i obaj wyszli z Andersem. Kobiety też wyjechały. ~~- nie pamiętam dziś nazwisk.~~

W Jesilu przez jakiś czas mieszkaliśmy w wagonach kolejowych, zanim dostaliśmy się do baraków. Wtedy (41 r.) matka dostała wiadomość, że mój ojciec nie żyje. √ (za str. 23)

Zjawisk przyrodniczych tam było wiele. Pierwszy raz takie zjawisko nigdy przedtem przez nas nie oglądane, było jeszcze na 3-ej Ermie . - przed tą burzą śnieżną, w cielętniku. Była bardzo mroźna, wyjątkowo bez-

wietrzna noc i wtedy były trzy księżyce. Oglądaliśmy to co najmniej jak jak jakąś kometę, albo inne tego rodzaju dziwne zjawisko. Był ten zwykły, normalny księżyc, a po obu jego stronach, w pewnej odległości były jakby dwa jego lustrzane odbicia - nieco słabsze, które nie miały naturalnie jasnych czystych zarysów, a ponadto, przez ten księżyc właściwy przechodził taki świetlny krzyż i właśnie na bocznych końcach ramion tego krzyża były te dwa odbicia. Drugim ciekawym zjawiskiem było to, co Anusia nazywa fata-morganą, a co nie było fata-morganą tylko było w czasie dużego mrozu i bezwietrznej pogody i słonecznego dnia - przybliżenie obrazu bardzo daleko istniejącego przedmiotu (czy miejscowości.) Oglądaliśmy wieś, chodzących po niej ludzi, kolory okiennic, wieś - odległą o 20 czy 30 km - taka była odległość do tej sąsiedniej miejscowości. Oglądany obraz był nad linią horyzontu, a nie na niej - nad takim pasemkiem powietrza nad horyzontem. Trzecie zjawisko, które pamiętam z Atbasaru, również w czasie dużego mrozu i również przed burzą śnieżną, to były dwa słońca. Działo się to o wschodzie,. Ja z baraku szedłem zawsze do pracy na zachód i zobaczyłem przed sobą słońce, obejrzałem się do tyłu i też zobaczyłem słońce. Można to też tak wytłumaczyć, że zmrożonym powietrzu, które tym razem nie stworzyło soczewki, tylko coś w rodzaju lustr i to wschodzące słońce odbijało się w warstwach zmrożonego powietrza.

13 Wśród band młodzieżowych była grupa polska i dwie grupy rosyjskie: grupa osiedlowo-miejska i grupa młodzieży spoza miasta pochodząca ze wsi i kołchozów. Kontakty między tymi grupami miały różny charakter. Czasami były to wspólne wyprawy, np. na ryby, na wyrzucanie węgla z jadącego pociągu /akcje kradzieży węgla/ i jego magazynowania, wspólne wyjścia do różnych robót polowych /do których młodzież była angażowana i zachęcana przez władze/. Ale jeżeli doszło do jakiejś różnicy poglądów na cokolwiek, np. na fakt, że trzeba iść prawą a nie lewą stroną, lub że trzeba iść rano a nie wieczorem, to wtedy solidaryzowała się ze sobą wyraźnie grupa Polaków, a grupa Rosjan zawsze była razem. Te wojny, te potyczki odbywały się często na ciekawym tle. Przytoczę przykład

ziarno w czasie zbiórki omłotów było wywożone samochodami do silosów umieszczonych w pobliżu stacji kolejowej. Były to samochody skrzyniowe, otwarte. Charakterystycznymi punktami ich drogi były zakręty przed stacją i przejazd kolejowy. Technika kradzieży była taka, że każdy z nas miał przygotowany czerpak, tzn. coś w rodzaju woreczka z drutem-rączką na górze. Tam, gdzie samochód stawał, trzeba było wskoczyć na tylną burtę, zahaczyć się jedną ręką o burtę, a drugą ręką zagarnąć tym czerpakiem swoją porcję zboża. Ponieważ samochody jeździły stosunkowo rzadko a chętnych do tego zajęcia było dużo, to oczywiście była konkurencja i powód do potyczek. Były one bardzo różne: my Polacy walczyliśmy z Rosjanami, ale kiedy na włazili za bardzo w drogę ci z kołchozów, to wtedy Polacy łączyli się z Rosjanami z osiedla-osiedla i tamtych zwalczaliśmy wspólnie, żeby sobie jak najwięcej wyrobić miejsca do kradzenia tego ziarna. Potyczki te przenosiły się potem nad rzekę dlatego, że jeśli ~~kon~~ konflikt nie został załagodzony, to ci z kołchozów, spoza osiedla, czekali na nas nad rzeką i tam dostawaliśmy od nich baty i trzeba było uciekać do miasta. Taka pogoń trwała nieraz kilometrami - przez step, z kluczeniem, chowaniem się za krzaki, w polankach, czasem z wskakiwaniem do jadącego pociągu. Nie można jednak powiedzieć, że były to stałe konflikty między Rosjanami a Polakami. Kryteria podziału na grupy były płynne. Pewne jest, że te ciężkie warunki, w których jedna i druga młodzież tam bytowała, były tak odczuwalne, że to czasami łączyło. Wśród Polaków nie było konfliktów, czasami tylko ktoś komuś nawymyślał "od pochodzenia" że ten jest maminsynek, a ten policjant, jeszcze inny - kolejarz, ale nie było to powodem wyraźnych rozdźwięków.

~~Natomiast~~ Wyraźnie wyszydzane przez Rosjan było harcerstwo. Nie potrafili go zrozumieć. Byli przejęci własną organizacją pionierską, która nie przewidywała w swym programie takich zajęć, jakie miało harcerstwo: tam nie było musztry, nie było ćwiczeń, podchodów, gier i zabaw. Nie było to naśladowane, ale właśnie wyśmiewane i wyszydzane. Z tego powodu musieliśmy wchodzić również w konflikty. Jedyną rzeczą, która była wśród

W Jesilu była tylko jedna apteka, toteż w przypadku zachorowań stykalismy się tylko z tą apteką. Lekarze byli, ale na poziomie najgorszego felczera. Byli to miejscowi Rosjanie oraz Kazachowie /pełniący podrzędniejsze funkcje/. Felców było mało. Najczęstsze choroby to były: czerwonka i oba rodzaje tyfusu /z powodów higienicznych: wszy, brak wody, brak mydła, niedomyte naczynia itp./. Zaraza przenosiła się szybko, zwłaszcza w lecie. Na te choroby nie było sposobów ani lekarstw. Stosowano tylko domowe sposoby łagodzenia choroby; ogromnie poszukiwany przy czerwonce i tyfusie brzusznym był smalec, który stwarzał pewną osłonę w przewodzie pokarmowym. W lecie pito wywar z piołunu albo nalewkę na piołunie /o ile można było dostać alkohol/.

Nasze organizmy były osłabione i wygłodzone. W zimie mieliśmy warzywa tylko w postaci kiszonej lub solonej kapusty albo solonych zielonych pomidorów, które zresztą zawsze były zmrożone. W lecie największym powodzeniem cieszyła się cebula, czosnek i kradzione kawony. Wbrew przypuszczeniom nasze organizmy były jednak zasilane, gdyż np. mąki nigdy nie przesiewaliśmy - jedliśmy ją "na razowo", jedliśmy ziarna zmielone na żarnach razem z otrębami i to nam dawało dużą porcję witamin.

Kazachowie pieką, zwłaszcza w polu, bardzo smaczne i ciekawie przyrządzane placki. Robią je z mąki rozrobionej surowym krowim mlekiem, następnie rozwałkowują ciasto na placek grubości ok. 2cm, kładą go na żeliwną patelnię /bez rączek i uszu/, przykrywają drugą patelnią i wsadzają do żaru z kiziaku. Po pewnym czasie placek wyciągano z tego żaru i robił się z niego podpłomyk doskonały i smaczny tak, że można było za niego oddać każde bogactwo. Te podpłomyki pieczone w kiziaku między dwiema patelniami były szczytem marzeń każdego, kto znalazł się gdzieś na pastwisku pomagając Kazachom w wypasie bydła.

Lato 42r. było dla naszej rodziny bardzo tragiczne, bo w ciągu 3 tygodni, w lipcu, zmarły trzy osoby. Pierwsza zmarła najmłodsza siostra Jadwisia, która miała wtedy 2 lata i 7 mies. Jest to cudowny wiek, w którym dziecko już rozmawia, już szczebiocze, już zaczyna być samodzielne, już

jest myślące. Jadwisia była ulubienicą wszystkich. Była to cudowna, mała blondyneczka z niebieskimi oczami... Zmarła na dezynterię. Nie było szans żadnych. Później zmarła matka mojego ojca, w tydzień po niej zmarł Tadzio. Tadzio jednak zmarł na serce. Kłopoty sercowe zaczęły się wcześniej. Okazuje się, o czym ja wówczas nie wiedziałem, że miał on wrodzoną wadę serca. Pamiętam, że 13-letniemu Tadziowi, który pomagał w domu, i w Jesilu unikał wycieczek, chodzenia na ryby itp., puchły jak bania nogi. Ja nie umiałem wtedy docenić stopnia zagrożenia dla życia tej dolegliwości. Tylko matka się dokładnie w tym orientowała. Zdaje się, że w tamtych warunkach nie było dla niego ratunku. Był to zresztą wśród tamtejszych Polaków jedyny przypadek, że chłopak zmarł na serce, a nie na choroby zakaźne. Matka moja znosiła te straty z wielkim bohaterstwem. W ciągu 4 tygodni stracić dwójkę dzieci - to trudno sobie wyobrazić. Musiały to być bardzo ciężkie chwile....

W Jesilu zacząłem na dobre robić zabawki z drewna i nawet było z nich trochę zarobku. Wycinałem z drewnianych deszczułek pajacyki, które na drucikach miały przywiązane ręce i nogi, do nich było przymocowane specjalne rusztowanko, które się naciskało i wtedy kombinacja odpowiednich połączeń sznurkami powodowała, że pajacyk fikał sobie, tworząc różne śmieszne pozycje. Nie pamiętam od kogo się tego nauczyłem - gdzieś to zobaczyłem. Przydały się wtedy zachęty sprzed wojny mego ojca, który sam był niezwykle zdolny i miał takie zdolności manualne. Ojciec był bardzo dokładny, precyzyjny, a miłość to było zawsze na oślep: ojciec był mistrzem w ostrzeniu ołówków. Ołówki były naostrzone jak lanca i osadzone wszystkie w szklaneczce ze śrutem myśliwskim. Zdolności ojca i jego zachęty doprowadziły do tego, że ojciec z bratem chętnie pracowaliśmy na małym dziecinnym stole stolarskim. Wyrobione wtedy umiejętności pozwoliły mi na wykonywanie szybko i sprawnie tych pajacyków, różnego rodzaju sztyletów i noży z drewna. Wszystko to było malowane glinkami, które zbierała i dobierała kolorami Ania. Trzecią zabawką były miniaturki szabel i mieczy robione z drutu miedzianego. Na ten pomysł wpadłem przez przypadek, mianowicie zoba-

Układałem więc na szynach odpowiednio wygięte kawałki drutu i czekałem na pociąg, pociąg przejeżdżał, a ja zbierałem gotowe półfabrykaty. Później obrabiałem sobie to wszystko na kamieniu.

Poza tym w Jesilu nauczyłem się robić naczyki na ryby. Trzeba było mieć drut stalowy, który się wyciągało z lin holowniczych. Najtrudniejszym elementem do wykonania był tzw. zadzior, czyli haczyk. /tu: opis "techniki wykonania haczyków - t. III A/- przyp. red./. Na te haczyki łapaliśmy ryby, których w Jesilu było dużo rozmaitych gatunków.

Poza tym interesowało mnie to wszystko, co robili cieśle. A w Jesilu budowano domy z drewna. Do dziś podziwiam umiejętność cieśli rosyjskich, którzy są fenomenalni, jeśli chodzi o ten zawód. Do stolarzy i cieśli, potrafią zwykłą siekierą i tylko siekierą cuda robić z drewna. Drewno było przywożone. Jedynym materiałem, który był na miejscu wykorzystywany, to była cegła. W cegielniach byli również zatrudniani więźniowie. Cegielnie były zakładami tylko z ręczną pracą i ci, którzy tam pracowali ogromnie narzekali. Wracali zniszczeni okropnie - pracą w mokrej glinie i to przez cały rok, również w zimie, później było wypalanie przy piecu, zmienne temperatury, to było strasznie ciężkie. Kończyło się zapaleniami stawów, mięśni itp. W Kazachstanie budowano i z drewna i z cegły. Budownictwo to miało swoje specyficzne cechy: w sprawie okien, w oknieniach, ale głównie w małych domach. Natomiast te domy, których budowie ja się przyglądałem, to były budynki 1-no i dwu-piętrowe - wielomieszkaniowe. Były tam elementy murowane, jak piece, kominy, ale ściany i konstrukcja budynku były drewniane. Dachy były kryte papą. Drugi rodzaj budownictwa to były domy z cegły - na ogół komunalne /szkoły, urzędy/. Trzeci rodzaj to były do połowy zakopane w ziemi domki, które można nazwać ziemiankami a które miały charakter domów jednorodzinnych, a te, w których myśmy mieszkali - baraków. Zagłębienie w ziemi było bardzo różne - była to sprawa zwyczajów miniregionalnych. Były ~~takie~~ takie, które sięgały do dolnej krawędzi okna, były półmetrowe, były też takie, które stały na ziemi nie podpiwniczone a kostkami ziemi z darnią były okładane dla ocieplenia.

str. 17.)

Dowiedziała się o tym od kogoś przyjezdnego. Mieszkaliśmy wtedy w wagonach i tam jakiś mężczyzna zostawił wiadomość dla matki. Wydaje się, że było to potwierdzenie tego, że ojciec był w którymś z tych 3 miejsc: Starobielsk, Kozielsk, Katyń, albo potwierdzenie, że ojciec nie żyje. Matka nam o tym nie mówiła.

Jesienią 42r. zostaliśmy przewiezieni do Atbasaru jako potrzebna tam siła robocza do budowy odcinka linii kolejowej. Tam zostaliśmy umieszczeni w baraku, z wielomą polskimi rodzinami do 44r. Pobyt w Atbasarze był to czas, w którym ciężko /oprócz Jesilu/ najintensywniej interesowałem się tym, co robią dorośli - jak pracują. Tam właśnie widziałem, jak ciężko pracowały kobiety przy budowie linii kolejowej: ręczne dźwiganie szyn kleszczami, ręczne podbijanie podkładów tłuczniem - to wszystko było strasznie trudne i ciężkie. Kobiety pracowały od świtu do nocy, nie mając czasu dla dzieci. Zarobki, jeśli w ogóle można mówić o pojęciu zarobków, były symboliczne. Pracowało się wtedy nie dla zarobków. Pracowało się dlatego przede wszystkim, że był przymus pracy - absolutny. Pracowało się również dlatego, że otrzymywało się kartki na art. spożywcze i inne. Te ilości z kartek były również symboliczne. Na kartki było wszystko - chleb, tłuszcze, mięso. Ubrania nie było w ogóle żadnego. Co najwyżej, było służbowe dla pracowników - waciki i drewniaki - i to tylko w zimie. Nikt nie troszczył się o to, czy ludzie mają obuwie, czy nie. Ale dopiero tam okazało się, że drewniaki w zimie - to był dobre obuwie, gdyż izolacja cieplna podeszwy była bardzo skuteczna. Ale z kolei przez te drewniaki było dużo różnych wypadków: były śliskie, miały sztywną podeszwę, więc człowiek poruszał się w nich jak w kajdankach.

Zarówno w Atbasarze, jak i w Jesilu, ta praca przymusowa była przerywana na budowach 2 razy w roku: na wiosnę na czas orki i siewów /koniec kwietnia/ oraz w czasie żniw, do których byli wyganiani wszyscy. Do orki i siewów szły głównie maszyny, natomiast do żniw byli zapędzani ludzie.

Charakterystyczna była praca, której obraz do dziś pamiętam: po przejściu żniwiarki /komb.jnu/ zostawało na polach bardzo dużo nie skoszonych kłosów. I do zbierania ręcznie tych kłosów - bez sierpów, bez niczego, - byli zmuszani ludzie. Kłosy albo się wyrywało albo ścięte - zbierało. Wrzucało się je na fury czy samochody i to szło do omłotów. Pamiętam, jak kobiety i młodzież zbierający kłosy ustawiani byli w tyralierę i ta tyraliera posuwała się po polu. Tyralierę nadzorował ktoś w rodzaju karbowego, który popędzał do roboty dosłownie batem - długim batem, typowym dla Kazachów / na krótkim trzonku osadzony bat długości 2, 3, a nawet 4m/. Normalnie służył on do popędzania zaprzęgów wydlężych - fur zaprzężonych w woły, przy czym woźnica siedzący na furze, mając przed sobą 3 pary wołów, musiał tym batem sięgnąć do przedniego wołu. Kazachowie kresztą po mistrzowsku operowali tymi batami. i również po mistrzowsku używali bata na te kobiety i dzieci zbierające kłosy. Moja matka była tak raz dotkliwie pobita. Pamiętam zdarzenie, które zakończyło się buntem - wojną między obsługą rosyjsko-kazachską a Polakami zapędzonymi do tej roboty. Kiedy już zbyt wiele razy Polacy oberwali, to kilku młodych chłopców /starszych ode mnie/ zbuntowało się. Było to w czasie przerwy obiadowej, kiedy to podawano posiłek na miskach. Chyba któremuś z naszych chłopców nie dano nic twardego / stałego / do tej zupy - dostał tylko samą wodę. Zbuntował się i zakończyło się to dużym biciem - poszły w ruch kamienie, widły, kłonice. Kazachowie zostali wtedy dotkliwie potłuczeni natomiast cała grupa Polaków wróciła do Jesilu i więcej się do tej pracy nie stawiła. Nie umiem powiedzieć, czy to miało jakieś następstwa o charakterze dyscyplinarnym, czy jakaś władza w to wkraczała, ale pamiętam, że do tego kołchozu więcej nas nie wysyłali. Przypuszczalnie ten surowy Kazach, który batem tak sobie "dokazywał" musiał być skarcony i odebrano mu siłę roboczą.

W Atbasarze też było jesienne zbieranie kłosów i innych plonów. To były całe wyprawy, nie tylko moje, ale i Anusi, która chodziła dziesiątki kilometrów na pola kawonów, prosa i pszenicy, gdzie się te kłosy zbierało

Ziarna pszenicy były mielone na żarnach, natomiast proso było w całości gotowane - wychodziła z tego taka kasza jaglana bardzo ciężka do jedzenia, bo ziarna prosa są bardzo twarde i ostre; to nie było zbyt smaczne.

W Abbasarze, w baraku, nauczyłem się jeszcze 3 rzeczy: robić na drutach, szydełkiem i prząść wełnę wielbłądzią lub owczą. Przędło się tam na zwyczajnym wrzecionie. Starałem się obserwować, jak robią to kobiety kazachskie i nawet te nici na swetry wychodziły mi zupełnie zgrabnie. To były zajęcia zimowe - wtedy, gdy już nie można się było ruszyć poza barak.

W zimie, w czasie kradzieży węgla byłem kilka razy złapany, dostałem kilka batów, byłem trochę postraszony, że bostanę uznany za szpiega lub dywersanta, ale dzisiaj, patrząc na to z perspektywy czasu, wiadomo że nic takiemu 11-letniemu chłopcu nie mogli zrobić. Ci też byli ludźmi, którzy xxxxxxx mieli w sobie coś ludzkiego, więc jakieś pewne granice istniały i zostałem wtedy wypuszczony.

Generalnie z opałem było bardzo trudno, więc jak nie było już nic, to odbywało się niszczenie płotów osłaniających tory przed zaspami śnieżnymi. A to już było cięższe przestępstwo. Węgiel wożono wtedy nie oblany wapnem, nie znaczony, więc czy go było mniej czy więcej to nikt tego nie dochodził. Natomiast drewna nie było w stepie dużo, trzeba było je przywozić. Drewno było bardzo cennym elementem opału i tak się xxxxxxxxxxxxxx wykorzystało wszystkie możliwości, jak nie było gdzie zbierać trzasek, jak stolarnia była zamknięta /bo nie było prac ciesielskich/ i pilnowana przez strażnika, to trzeba było w nocy wychodzić do tych płotów, a właściwie wysokich drewnianych ścian i tam po kawałku odrywało się deski. Jak złapano kogoś na tym procederze, to dawano duże kary, bo było to traktowane nie tylko jako kradzież, ale jako niszczenie prawie że obiektów strategicznych.

Kradli wszyscy - i Polacy i Rosjanie - tam się nie dało bez kradzieży żyć. To był warunek przetrwania.

W Atbasarze, na samym początku, doznałem chyba najdotkliwszego odmrożenia. Wcześniej miałem odmrożenia palców rąk i nóg, ale pierwsza zima w Atbasarze - z 42/43 r. - kosztowała mnie odmrożenie twarzy. W czasie burzy śnieżnej poszedłem z garnkiem po obiad do stołówki, która była odległej od baraku o 200-300m. W czasie burzy śnieżnej ludzie starali się wychodzić grupkami, żeby osłaniać się przed wiatrem i nie zabłądzić. Kiedy wracaliśmy wtedy z obiadem, wiatr zerwał mi czapkę z głowy, a nie chciałem puścić garnka, żeby złapać czapkę i doszedłem bez czapki do baraku. Byłem już półprzytomny z zimna i dopiero w baraku otrzeźwił mnie straszliwy krzyk mojej siostry. Okazuje się, że cała moja twarz była pokryta skorupą lodu. Skończyło się silnym nacieraniem śniegiem /przez matkę i ciotkę/, tak że natarty śniegiem i ręcznikami nie zachowałem żadnych śladów. Następne odmrożenia były trochę gorsze - zostawiły ślady.

W odległości ok. 4km od stacji był Stary Atbasar nazywany Miastem. Sama nazwa - Atbasar - oznacza "koński bazar" lub rynek. Jak opowiadali Kazachowie, w tej części Kazachstanu kiedyś koczowali i hodowali duże stada koni Kazachowie i w tym właśnie mieście odbywały się coroczne targi końskie - dosyć słynne na cały Kazachstan. Oczywiście w czasie, kiedy myśmy tam byli, to została sama nazwa, koni już tam prawie nie był znany. W grudniu 43 r. matka moja zachorowała na dezynterię. Została zabrana do szpitala w Atbasarze-Mieście.

IV t. 1

Odwiedzałem matkę w szpitalu kilka razy. Wtedy właśnie staraliśmy się z ciotką o słoninę dla matki. Robiliśmy ze słoniny smalec, który jako lek dostarczaliśmy w małych słoikach do szpitala, aby jakoś złagodzić jej cierpienia. Ostatni raz byłem w szpitalu tuż przed Bożym Narodzeniem. Zaniosłem słoiczek smalcu... Pamiętam, matka była wtedy ogolona /golono głowy wszystkim chorym w szpitalu, żeby nie dopuścić do wszawicy/. Matka wyszła do mnie na korytarz. Ja jakoś wtedy bardzo szybko uciekłem - tak jakbym się wstydził trochę wyglądu matki... Trochę nie

wiedziałem, jak się znaleźć w tych okolicznościach.... I to był ostatni raz, kiedy widziałem matkę. Później przyszła wiadomość ze szpitala, że matka zmarła, chyba w Wigilię Bożego Narodzenia. Ciotka zajęła się pogrzebem. Trudno wtedy było znaleźć ludzi do pomocy, trzeba było ich jakoś zorganizować. A wykopanie grobu w zmarzniętej ziemi to była strasznie ciężka praca, trzeba było kopać kilofem. Ciotka jednak znalazła jakąś pomoc i matka została pochowana w tej zmarzniętej ziemi. Pomagała przy tym p. Mar[illegible] Maria Samborowa.

Po śmierci matki ciocia pracowała nadal na kolei. Na początku lutego 44 r. wróciła któregoś dnia z pracy przemoczona i przeziębiona i już z silną gorączką. Tego samego dnia wieczorem straciła przytomność i bredziła. Było to bardzo silne przeziębienie, połączone z ogromnym przemęczeniem i przechłodzeniem organizmu. Na drugi dzień ciocia została zabrana do szpitala. Zabrano ją saniami, a ja opatulałem ją na drogę. Nikogo z nas do szpitala nie chcieli zabrać. Zmarła w ciągu 3 dni. Wiadomość o śmierci ciotki przyszła ze szpitala przyniesiona przez kogoś przypadkowego... Był kolejny pogrzeb... Tym razem musieliśmy sami z Anusią organizować pogrzeb. Przy samym pogrzebie nie byliśmy. Była burza śnieżna. Ludzie, którzy starali się nam pomóc /ale nie byli to Polacy, tylko Rosjanie i koloniści niemieccy oraz służba szpitalna/ pochowali ciotkę. Cmentarz był przy starym mieście Atbasarze - dla wszystkich oprócz Kazachów, którzy mieli swój własny cmentarz.

Wiadomość o śmierci ciotki zapisała się smutnym akcentem nie tylko faktem śmierci. Jak przyniesiono tę wiadomość do baraku, to nastąpiła wtedy rzecz, z którą się do dzisiaj nie mogę pogodzić. Współmieszkańcy baraku, a byli to tylko Polacy, bardzo solidarnie natychmiast, bez żadnej zwłoki podzielili między sobą wszystkie rzeczy, które zostały po naszej rodzinie. To było coś potwornego. Zostały zabrane absolutnie wszystkie przedmioty, wszystkie rzeczy. Było to takie... zwierzęce... Nie wiem, czym się ci ludzie kierowali, jakimi odruchami i instynktami, ale była to rzecz straszna, która - zwłaszcza w świetle późniejszych naszych przeżyć - jest nie do wykreślenia z pamięci.

O śmierci ciotki i o tej sytuacji dowiedziała się p. Maria Samborowa, która mieszkała w innym baraku na drugim końcu osiedla Atbasaru. Po burzy śnieżnej przyszła i zabrała nas do swego baraku, wyrywając od tych współlokatorów trochę naszych rzeczy, tych, które jeszcze można było zidentyfikować. Byśmy byli z lekka nieprzytomni, wytrąceni z równowagi ale p. Samborowa coś odzyskała z naszych rzeczy.

I wtedy zaczął się następny okres, którego początkiem było ostrzeżenie mnie przez Rosjan o tym, że jeżeli nie zacznę pracować, to razem z moją siostrą będziemy zabrani do sierocińca rosyjskiego. Oznaczałoby to utratę obywatelstwa polskiego i przekreślenie szansy powrotu do Polski. Było to ostrzeżenie prywatne przychylnych ludzi - Rosjan.

W tym czasie nie było jeszcze sierocińców polskich. Sierocieniec polski, o ile dobrze pamiętam, powstał chyba później /ale jeszcze w 44r./ w Atbasarze-mieście, był zarządzany przez Polaków - pod auspicjami MPP. W tym sierocińcu znalazła się później Anusia. Sierocińców rosyjskich było dużo, było masę sierot. W sierocińcu w Atbasarze były dzieci i z Leningradu, i z Białorusi, i z Ukrainy - z terenów zajętych przez Niemców. Z dziećmi z tych sierocińców kontaktu bezpośredniego nie miałem.

Wracając do mojej pracy. Miałem wtedy niepełne 13 lat, a pracować można było od 14-go roku życia. Poszedłem z paszportem matki do przedsiębiorstwa budowlanego, w którym pracowała, chcąc uzyskać pracę. Powiedziano mi że jestem za młody, że gdybym miał choć rok więcej, to mogliby mnie przyjąć. Zrobiłem więc atrament z jodyny z dodatkiem sadzy i odrobiny karty. Cała moja uwaga skupiona była na tym, żeby dobrać odpowiedni kolor. Paszporty były wypełniane wtedy nie atramentem, ale jakąś cieczą - coś pośredniego między jodyną a ~~jodyną rozcieńczoną~~ jakimś innym płynem. Zrobiłem ciecz, która kolorem przypominała kolor pisma w paszporcie, do jedynki dodałem półksiężyc i wyszło z tego zero. W ten sposób będąc urodzony w 1931r. okazałem się być urodzony w 30r. I potem ci sami ludzie, którzy mówili mi, że jestem za młody, jak obejrzeli po raz drugi ten sam paszport z innym rokiem urodzenia - powiedzieli: "teraz, to już jest wszystko w porządku, możemy cię przyjąć do pracy".

Zostałem przyjęty jako uczeń na budowę... Do dzisiaj nie mogę w sobie zatrzeć wspomnienia dwóch faktów: tego, że miejscowi Rosjanie zaakceptowali sfałszowanie dokumentu, inni przeciwnie ~~uprzedzali mnie~~ radzili mi, co mam zrobić, aby nie stracić obywatelstwa, podczas gdy Polacy, których tam było dużo, po śmierci naszej ciotki skupili swoją energię i uwagę na rozdrapaniu wszystkich naszych rzeczy (poza jedną p. Samborową). Ja z tym "konfliktem" dwóch zdarzeń nie mogę się do tej pory pogodzić. Dlatego też uważam, że Polak, który się znajdzie w takich trudnych warunkach, na wygnaniu, musi być wielokrotnie wypróbowany, żeby o nim coś dobrego można było powiedzieć....

W pracy dostałem dokument, którego to faktu wówczas nie doceniłem. Dopiero po latach okazało się, że był to właściwie najcenniejszy papier, jaki w ogóle można było mieć: była to mała książeczka z niewielkimi adnotacjami dotyczącymi całego przebiegu mojej tamtejszej pracy zawodowej. Dzisiaj jest to dla mnie jedyny dokument rosyjski, którym mogę potwierdzić autentycznie i bez wątpliwości, że byłem tam i pracowałem. Jedyną nieścisłością w tej książeczce jest data urodzenia. Po jakimś czasie pracy zdobyłem zawód i mam adnotację o zdobyciu uprawnień zawodowych stwierdzoną. Nie mam innego dokumentu dotyczącego pobytu tam, gdyż paszport matki został zabrany na granicy przy powrocie do kraju. Dzięki tej książeczce mogłem sobie okres pracy od 41 r. do maja 48 r. zaliczyć do stażu pracy - jest to respektowane do dziś. A poza tym jest to pamiątka.....

Jak wspominałem, zacząłem pracować jako uczeń - od noszenia cegieł i jako pomocnik murarski. Cegły i zaprawę murarską nosiło się na plecach na drewnianych nosiłkach, po drabinie /"na piechotę"/. Budowaliśmy wtedy budynki kotłowni przy stacji kolejowej. Po niedługim czasie przeniesiono mnie na ucznia ślusarza i uczyłem się różnych ciekawych rzeczy. Tam po raz pierwszy zetknąłem się bliżej z kolonistami niemieckimi wywiezionymi na Syberię na początku wojny niemiecko-rosyjskiej. Byli to eks-koloniści wywiezieni z terenów nadwołżańskich i znad Donu. Ludzie ci, mimo że od pokoleń mieszkali na terenie Rosji, byli tak silnie skonsolidowani,

Imponowali mi w dużym stopniu. Ich niechęć do wynarodowienia, opór przed wynarodowieniem, były tak duże, że wszyscy mówili bardzo źle po rosyjsku. Pamiętam drobny, ale charakterystyczny fakt o tym świadczący: w stołówce pracowniczej była kelnerka, która nazywała się Tania. Niemcy, którzy tam pracowali i jadali zawsze zwracali się do niej – "Tania, daj łożka" – zamiast: "Taniu, daj łożku". Każde prawie słowo rosyjskie było źle wymawiane, z przydźwiękiem języka niemieckiego. U Niemców poza tym, nie było też demoralizacji pracy. Pracowali solidnie i uczciwie, nie było tendencji do [illegible] pracy, które były do pewnego stopnia wrodzone i [illegible] w sytuacji wojny niemiecko-rosyjskiej. Nie wiem, czy ci Niemcy nie umieli tego robić, czy już nie [illegible] z tym krajem, ale w każdym razie pracowali solidnie. Poza tym, że [illegible] nacji – najmniej kradli właśnie Niemcy.

Niemcy byli świetnymi fachowcami, świetnymi rzemieślnikami. Blacharstwa, ślusarstwa, tokarstwa, kowalstwa – uczyłem się u Niemców. Wszyscy ci specjaliści potrafili robić cuda – tymi narzędziami i w tych warunkach, które tam były. Z kawałka aluminium w godzinę – Niemiec [illegible] młotkami wykuwał papierośnicę w formie pudełka, z zawiasami, nie używając poza narzędziami kowalskimi i pilnikiem niczego. Nauczyłem się tam robić różne takie drobiazgi i być może dzięki temu zauważył mnie jedyny tam spawacz /Rosjanin/. Pomocnikiem jego był traktorzysta Niemiec /traktor był po-[illegible] razem [illegible] do typu generatora/. Zostałem pomocnikiem spawacza. Moim obowiązkiem było cięcie drutu [illegible], prostowanie go i robienie z niego elektrod. Rozrabiałem [illegible] kredową z klejem stolarskim, potem drut moczyłem w tej masie, potem odpowiednio suszyłem nad piecykiem /"kozą"/ ze specjalnym rusztem i w ten sposób powstawały elektrody. Po jakimś czasie /3-4 miesiące/ zbuntowałem się i powiedziałem, że więcej drutu nie będę ciął i albo będę spawał albo sobie pójdę do innej roboty. I wtedy spawacz pozwolił mi sięgnąć do maski spawalniczej i zostałem w tej brygadzie już do końca.

Kiedy trafił na Syberię sprzęt amerykański, a więc: samochody, studebackery, willisy itp., to mój spawacz i nauczyciel /surowy, ale bardzo rzetelny i opiekuńczy/ doprowadził mnie do egzaminu rzemieślniczego, a sam przekwalifikował się na kierowcę, zostawiając mnie całą brygadę spawalniczą /miałem wtedy 14 lat/. Cały czas pracowałem na budowach spawając instalacje dla kotłowni, parowozowni, rusztowania itp. Praca trwała okrągły rok - 8 godz. dziennie. Mieliśmy maskę na oczy, ale mimo to łapaliśmy tzw. zajączki, czyli złapanie przez oczy /nie zasłonięte maską/ błysku łuku elektrycznego. Wynikało to przede wszystkim z nieumiejętności operowania sprzętem. Ja miałem często te wypadki. Po pracy czasem nie mogłem trafić do domu - oczy były w tak silnym stanie zapalnym, że szedłem nic nie widząc, płacząc, pod powiekami czuło się piasek. Jedynym lekarstwem na to były zimne okłady i z czasem to przechodziło. Później te "zajączki" też jeszcze mnie męczyły, zwłaszcza kiedy pracowałem na tzw. wysokościach - przy spawaniu stalowych konstrukcji budynków. Człowiek łaził tam po wąskich belkach, bez zabezpieczeń /nie stosowano ich tam/. Czasem trzeba było chodzić po rzuconych kształtownikach stalowych na dość dużej wysokości. W takich warunkach elektroda czasami trafiała w uziemnioną konstrukcję, następował błysk łuku i to trafiało w oczy.

Zapłatą za tę pracę były właściwie kartki, bo pensja na nic wielkiego nie starczała. Moja pensja wynosiła początkowo 50 rubli miesięcznie, a pod koniec - 150 rubli. Pół pensji szło na obiady i wykup towarów z kartek. Dodatkowe zaopatrzenie się w żywność na targu było niemożliwe, gdyż tam pud /= 16 kg/ mąki kosztował 2000 rubli. Trzeba więc było dorabiać. Dorabiałem w swojej brygadzie spawalniczej. Traktowany byłem w niej bardzo przyjacielsko i przyjemnie. Byłem najmłodszy i starsi koledzy natychmiast mi nadali przezwisko "malenkij mużik". Moi starsi współpracownicy, opiekowali się mną w różny sposób: dawali mi tytoń /paliłem już wtedy papierosy/, gazetkę, uczyli mnie różnych zwyczajów. Mimo tego, że trwała wojna i że była to Syberia, twardo była stosowana jedna

zasada: 50 min. pracy - 10 min. odpoczynku. Taka dyscyplina była zawsze utrzymana - bez względu na to, co się działo.

Ustawowo pracowałem 8 godz., w praktyce - dwie lub trzy zmiany. Zostawałem bowiem po swojej zmianie i z kolegami robiliśmy 2 rodzaje wyrobów: łóżka dziecinne i piecyki - tzw. kozy. To się robiło w tym samym zakładzie pracy, czyli była to dzisiejsza "fucha", na którą nikt tam nie zwracał uwagi. Łóżeczka dziecinne wymagały 2-3 dni pracy - aby te wszystkie pręciki, barierki pospawać, oczyścić, pomalować, kozy robiło się szybciej - z kawałka blachy. Produkty te sprzedawaliśmy z kolegami na bazarze. Łóżeczko i piecyk można było sprzedać w granicach 500-1000 rubli. W ten sposób mieliśmy pieniądze na dodatkową żywność - chleb, mąkę, mleko /mleko było w zimie sprzedawane w zamrożonych bryłach i można je było kupić na targu/.

Ja utrzymywałem siebie i Anusię /jeden pracujący i jeden tzw. wyżywieniec/, natomiast p. Emborowa sama się utrzymywała zarabiając szyciem na maszynie z Tarnopola, która jakimś cudem przetrwała.

Siostra moja przychodziła na obiady do mnie do pracy, a jakiś czas zmywała naczynia w stołówce. Ten jeden obiad, który mnie się należał, zjadaliśmy razem. Pracującemu należało się: jeden obiad i 500 g chleba dziennie - poza kartkami, na które można było kupić nie wielkie ilości mąki tłuszczu i cukru. Osoba pozostająca na utrzymaniu otrzymywała 300 g chleba i mniejsze porcje na kartki. Początek mojej pracy przypadał na pierwsze miesiące 44 r., kiedy UNRA jeszcze nie docierała, a więc było niepsko; było źle z jedzeniem, źle z opałem, źle ze wszystkim. Radziliśmy sobie w ten sposób np.: kiedyś przyszedł do mnie strażnik ze składu węgla - z połamanym metalowym kołem od wózka, zespawałem mu to koło, nie wziąłem żadnych pieniędzy i w ten sposób siostra miała otwarte "wejście" do składu węgla. Przychodziła do mnie na obiad z plecaczkiem, a ponieważ koło mojej pracy były te hałdy węgla, więc po obiedzie ładowała plecak węglem i szła do domu. Strażnik w takich momentach zakładał karabin na pasek i szedł na drugi koniec magazynu, tak jakby tego nie widział. Później naprawiałem jakieś kłódki i inne drobiazgi i za to

dostawałem od Kazachów kawałek mięsa, woreczek kaszy jaglanej itp.
~~Paczki UNRA zaczęły przychodzić dopiero już przed zakończeniem wojny.~~
Moja brygada pracowała cały rok przy budowie, natomiast w czasie orki, siewów i w czasie żniw jechaliśmy na pole, ponieważ w brygadzie był traktor. To było dla mnie Colorado, zwłaszcza orka /pozwalano mi kierować traktorem/. Orkę i siewy wykonywaliśmy kilkanaście kilometrów od Atbasaru w jakimś sowchozie. Wynalazłem tam sobie schowek w ziemi, w którym chowałem podradane z worków ziarno. Wracając w każdą niedzielę do domu (bo wtedy już można było mieć wolną niedzielę) - przynosiłem worek z ziarnem i był to również duży zastrzyk żywności.

Paczki UNRA zaczęły przychodzić dopiero tuż przed zakończeniem wojny. W paczkach tych znajdowały się artykuły takie jak: świetna amerykańska margaryna, suchy groch, jajka w proszku, mleko w proszku. Artykuły te - adresowane do Polaków - przychodziły w większych ilościach w pojemnikach, a na miejscu odpowiedni komitet Polaków to rozdzielał. Polaków było tam wówczas ok. 500-600 osób. Darami UNRA sterował prawdopodobnie ZPP. Do Rosjan UNRA nie docierała. Natomiast paczki z kraju i z zagranicy - adresowane personalnie do nas - docierały do nas tylko w pierwszym roku pobytu w Kazachstanie. Otrzymaliśmy np. paczkę z Włoch nadaną przez panią contessę Sodarini.* Paczka ta zawierała drobne ubrania; jedzenie - o ile pamiętam, nie było. Ubrania były niepełne, kamasze, które ja dostałem, starczyły mi dosłownie na jeden dzień. Sądzę, że były to tzw. buty [illegible] gwoździowe. Nie mniej jednak paczka ta sprawiła dużo radości i do dziś contessa Sodarini pozostała osobą, która nas obdarowała.

Artykuły z UNRA dostawaliśmy aż do powrotu do kraju. W drodze powrotnej na każdym przystanku wszyscy wychodzili i w swoich kociołkach dogotowywali sobie groch; przy każdym wagonie było kilka ognisk - było to i smutne ale i malownicze.

Po zakończeniu wojny przewalały się przez Atbasar olbrzymie transporty wojska, z którego część przydzielano na miejscu jako grupy robocze. Pierwsza "fala" przyszła w maju 45r., a druga po zakończeniu wojny japońskiej - ze [illegible]

wojskowy, z którego byłem bardzo dumny.

W maju 45r. Anusia poszła do sierocińca. Odbylismy przedtem długą naradę rodzinną. Było wtedy kiepsciucnno. Jedzenia było mało, nawet to zasilanie ziarnem niewiele pomagało. W Kazachstanie największy głód był nie na przednówku, ale w zimie, kiedy nikt z kołchozów nie odważał się wyjechać w step. Odległości między miejscowościami były ogromne (30 -40 km), nie było samochodów, jeździło się najczęściej wołami, więc pokonanie takiej odległości zajmowało najczęściej 2 dni. A jeśli kogoś zaskoczyła w stepie burza śnieżna, to przeważnie nie trafiał do domu i na wiosnę odnajdywano tylko kości. Dlatego Kazachowie nie ryzykowali takich wypraw w zimie i dlatego zima była najgorsza, bo do miasta nie trafiały nawet te niewielkie zasilenia żywnosci. Ruch zaczynał się dopiero w czasie lub po roztopach, czyli w przełomie kwietnia i maja.

Na wiosnę 45r. nawet i to nie polepszyło naszej sytuacji żywnościowej. Zdecydowalismy więc, że w sierocińcu siostra będzie miała regularne wyżywienie, będzie mogła zacząć się uczyć i zdecydowalismy się na ten krok. Było to przykre i bolesne, bowiem musieliśmy się rozstać... Wcześniej były nacisku i namowy ze strony władz sierocińca, aby to osierocone dziecko otoczyć jakąś formalną opieką. Na początku, przez 2/3 miesiące nie poddawalismy się temu, ale w końcu zdecydowalismy, że tak będzie lepiej. Tak się wtedy wydawało. Natomiast rzeczywistość była inna, niesłychanie przykra i niekorzystna w konsekwencji przede wszystkim dla (mojej siostry) Anusi. Jak się okazało, ona bardzo boleśnie odczuła po pierwsze - rozstanie, po drugie - w wyniku rozstania osamotnienie, po trzecie - wpływ złych warunków i opieki w sierocińcu. Czy to był wyjątek czy zbieg okoliczności - nie wiadomo. W każdym razie nie mogła się zaadoptować, przyzwyczaić, aczkolwiek była zdyscyplinowana, posłuszna i rzeczywiście zaczęła się uczyć. Jednak coraz częściej zaczęły się opiekunki skarżyć, że Anusia ucieka... ucieka na cmentarz, ucieka na grób matki. Na grobie matki przesiadywała całymi dniami i to chyba zostawiło bardzo silny ślad na jej psychice.

Jej pobyt w sierocińcu trwał pół roku - do grudnia 45r. Miałem prawo

widywać się z siostrą - raz lub dwa razy na tydzień. A jeśli nawet nam nie pozwolono, to korzystalismy z dziury w murze i też widywalismy się Poza kierowniczką miałem kontakt również z innymi osobami z personelu i nie wyniosłem z tych kontaktów żadnego zapisu w pamięci pozytywnego na tyle, żeby kojarzył mi się z uczuciem wdzięczności, podziwu czy choćby sympatii. Musiało to być więc wyjątkowo nieprzyjemne. Przed Bożym Narodzeniem 45r. /wtedy, dzięki staraniom ZPP można było oficjalnie po raz pierwszy mówić, że jest Boże Narodzenie i Polacy mieli 2 dni wolne od pracy/ poszedłem do sierocińca i poprosiłem kierowniczkę, żeby zwolniła na te dwa dni moją siostrę, żebyśmy mogli być razem przez dwa dni razem. Pani Samborowa zrobiła wtedy pierogi z kapustą, wszystko było przygotowane, ale niestety p. kierowniczka nie zgodziła się. Ja się wtedy tak troszeczkę "po rosyjsku" ukłoniłem - w pas, prawie do ziemi, następnie wyszedłem z gabinetu, Anusia szybciutko się ubrała i uciekliśmy przez dziurę w murze. Poszliśmy sobie do domu - ok. 4km, po skrzypiącym zadnie, zamarzniętym i zawianym śniegu. Przez Boże Narodzenie był spokój, dopiero 3-go dnia, jak byłem w pracy, to przybiegł z baraku 9-cio-10-letni chłopaczek, Rosjanin i powiedział, żebym nie wracał do domu, bo tam czeka na mnie milicja. Okazuje się, że pani kierowniczka sierocińca- Polka - przyszła z milicjantem chcąc zabrać Anusię z powrotem. Ja wtedy nie wróciłem do domu, tylko nocowałem w pracy na stole warsztatowym (co mi się przedtem też zdarzało przy robieniu różnych fuch). Anusię wyboroniły mieszkanki baraku, zwłaszcza p. Samborowa i dwie rodziny rosyjskie. Działały bardzo energicznie i - zwyczajnie, po ludzku - p. kierowniczkę i milicjanta wygnały pogrzebaczami z baraku nie wydając Anusi. Było tam trochę gróźb, trochę wyzywań, że ja pójdę do aresztu itp., ale w końcu nie było żadnych konsekwencji. Urwał się po tym zdarzeniu kontakt całkowicie z sierocińcem i do końca była wroga atmosfera między paniami stamtąd a nami. Sporadyczne kontakty były jeszcze w czasie powrotu - w transporcie. Cały sierociniec zresztą jechał razem z nami - jako jednostka zorganizowana w tym samym transporcie (widziałem te dzieci). Cały sierociniec

został skierowany na Ziemie Odzyskane, chyba na Ziemię Lubuską, takie przynajmniej były zamierzenia. Wagon z sierocińcem był znacznie oddalony od naszego, a transport był długi /kilkadziesiąt wagonów/, może to stworzyło opinię, że tych dzieci tam nie ma.

Na tym można by zakończyć historię, która przez p. kierowniczkę była określana jako "wykradzenie dziecka z sierocińca". Później ~~xxxxxx~~ Anusia została z nami. Przez pewien czas pilnowalismy jej nawet bardzo uważnie, gdyż podejrzewalismy, że ktoś z sierocińca zechce ją zabrać z powrotem. Może obawy te były nieuzasadnione, ale mieliśmy je.

V.

Osobną kwestią wymagającą omówienia jest obecność w Kazachstanie innych nacji. Byli tam Niemcy - jak wspomniałem - z nad Wołgi i Donu, którzy zostali przesiedleni na początku wojny niemiecko-rosyjskiej albo trochę wcześniej, gdyż z całą pewnością jakieś prewencyjne działania władze Zw. Radz. musiały podjąć i oczyścić sobie to przewidywane bliskie zaplecze frontu.

W 1944 r. pojawili się tam zupełnie nowi ludzie - dla nas prawie orientalni - dwa plemiona kaukaskie - Ingusi i Czeczeńcy. Z informacji pochodzących od nich i z wiadomości podawanych oficjalnie wiem, że ludzie ci zostali zesłani za próbę zorganizowania buntu czy powstania przeciwko władzy radzieckiej - w czasie, gdy wojska niemieckie zbliżały się do Kaukazu. Była to próba uzyskania jakiejś samodzielności przez te plemiona na wypadek, gdyby Niemcy tam doszli. Jest to pewna analogia z tym, co działo się z odłamem Ukraińców, którzy przeszli na stronę niemiecką po to, żeby sobie kupić autonomię - wolną Ukrainę. Ingusi i Czeczeńcy zostali w sposób gwałtowny i brutalny zlikwidowani przez władze sowieckie i tak jak my - wywiezieni do Kazachstanu. Ci mieszkańcy Kaukazu zostali przeniesieni z klimatu górsko-morskiego do klimatu skrajnie kontynentalnego stepowego. Przywieziono ich w zimie i wyładowano z pociągu na sanie. Przywieźli oni ze sobą zapasy kukurydzy w workach. Widziałem tę kukurydzę, bo przy brutalnym wyładunku z wagonów worki rozpruwały się i kukurydza wysypywała sie na śnieg. Ludzie byli rozwożeni po domach i barakach

[/ tu - opis urody i strojów/]. Wszyscy oni mieli ogromne trudności mentalnościowe i psychologiczne z przystosowaniem się do środowiska i warunków. Nie uznawali głodu, faktu, że trzeba ten głód pokonać. Znane były wypadki, że w czasie głodu zbierało się 3 mężczyzn, kradli krowę sąsiadowi, a jeśli trzeba było komus nóż wepchnąć ~~xxyzkxy~~ to i przed tym się nie wahali. Oczywiscie kończyło się to natychmiastowym wykryciem sprawcy i uwięzieniem go. Przez te swoje gwałtowne, żywiołowe reakcje wykańczali się szybciej od nas. Marli jak muchy, znikali dosłownie w oczach i niewielu z nich zostało. Wszyscy oni musieli pracować - ~~mężczyźni~~ kobiety, jak i mężczyźni. W pracy często wyczudzały bójki, bili się z nadzorcami, nie chcieli przychodzić do pracy, był to wtedy powód do aresztowania. Nieusprawiedliwiona nieobecność w pracy była traktowana jako sabotaż i kończyła się srogą karą. Ja bowiem za też siedziałem za aresztowanie za taką nieobecność - w karcerze miejscowego posterunku. Doniesiono jednak byłem dość popularny i lubiany, więc bezpośredni zwierzchnicy szybko załatwili sprawę i po 3 dniach zostałem wypuszczony bez żadnych dalszych konsekwencji dyscyplinarnych.

Wiele lat później - w 1978 r. wracałem z Chin samolotem. Nocowałem w tranzytowym hotelu aeroportu i tam z kolegą poszliśmy na kolację. W restauracji nie było miejsc. Przy jednym ze stolików siedział sam człowiek o kaukaskich rysach w mundurze lotnika. Widząc, że szukamy miejsca, zrobił w naszą stronę przyjacielski gest ręką - zapraszając nas do stołu. Oczywiście skorzystaliśmy z okazji. On bez pytania zamówił dla nas karafkę koniaku, bo uznał siebie za gospodarza stołu. W pewnym momencie rozmowy zapytałem go, czy nie pochodzi z Kaukazu, gdyż ma taką urodę. Odpowiedział, że rzeczywiście jest Czeczeńcem. Opowiedziałem mu, skąd znam Czeczeńców i okazało się, że ~~xyzkxx~~ człowiek ten również był w Atbasarze. Wrócił do kraju po wojnie. Obecnie jest pilotem helikoptera pracuje na Kaukazie w służbie geologicznej. Opowiedział mi o swojej rodzinie, o tym, że w Kazachstanie sporo członków jego rodziny zostało pod ziemią, natomiast on wrócił. Jego brat został w Kazachstanie - ożenił się tam i mieszka w [illegible]

kilka razy pisać do niego, ale nie dostałem odpowiedzi /były to lata 80-te/. Wniosek z tego, że część z nich - być może za jakies szczególne życiowe postawy - wracała do swego kraju, ale napewno nie Tiwelu.

Jednym z trudnych i głębszych dla mnie przeżyć była sprawa jeńców niemieckich, którzy tam też trafiali. Otóż pracując już jako zaawansowany pomocnik spawacza, zostałem skierowany razem z innymi brygadami budowlanymi do budowy obozu dla jeńców niemieckich. Był to regularny obóz: prostokąt otoczony wysokim drewnianym płotem, z wieżyczkami na rogach. W środku były baraki ze wszystkimi instalacjami, z cementowymi lewami. Budowa prysznicow i umywalni wymagała właśnie prac spawalniczych robienia całej instalacji hydraulicznej i innych metalowych konstrukcji. Po zakończeniu tych prac, późną jesienią 44r. przywieźli pierwszą partię tych jeńców, potem kilka następnych transportów i obóz został szybko zapełniony. Nie wiem, jakie stosunki panowały w środku obozu, jaka była dyscyplina itp., bo nie znałem języka niemieckiego. A kontakt był możliwy, bo Niemcy ci byli regularnie kierowani na wszystkie odcinki pracy. Jeńcy byli w mundurach. Za dzienną porcję chleba /600g/ jeden Niemiec dał mi portfel skórzany z węża lub z krokodyla /mam go do dziś/ widać strasznie głodowali. Kilka dni później drugi Niemiec za taką samą porcję chleba dał mi niemieckie buty, tzw. saperki. Przypomniało mi to natychmiast, jak to było z naszym handlem w pierwszym roku pobytu - ile myśmy płacili za kawałek chleba czy okruszynę innej strawy. A Niemiec od razu dał mi buty, owinął nogi szmatami i wrócił w nich do obozu. Ja paradowałem w tych niemieckich saperkach, które były o wiele dla mnie za duże, ale byłem z nich ogromnie dumny, bo nikt takich butów nie miał. Buty te jednak w zimie były nieprzydatne do tamtejszego klimatu, bo były za zimne.

Niemcy wytrzymali 1,5 roku - potem wymarli. Nie wytrzymali ani klimatu ani dyscypliny - po prostu wymarzli. Prawdopodobnie obóz ten w zimie nie był opalany, albo bardzo słabo. Powstał tam taki cmentarzyk w pobliżu obozu. Zakopywali Niemców - "tak jak leciało" - jak umierali. Obóz został przed naszym wyjazdem zlikwidowany. Nowych partii nie przy-

Tak jak sobie przypominam, to nie spotkałem wśród tych Niemców przejawów jakiejś buty, dumy, buntu. Byli potulni, stłamszeni - wyeliminowano z nich absolutnie wszelkie wzniosłe cechy ludzkie, które normalnie każdy człowiek sobie gdzieś "za pazuchą" nosi. Byli po prostu zgnębionymi jeńcami, absolutnie przegrani - również psychicznie. Jedynym pozytywnym wyróżnieniem dla nich było tylko to, że szli do pracy i wtedy stykali się z wolnymi /w cudzysłowie/ ludźmi. Dostawali wtedy coś do jedzenia i tym jeńcom było lepiej. Chyba ci, którzy nie chodzili do pracy, byli w znacznie gorszych warunkach. Ze strony ludności cywilnej nie było żadnych wyraźnych przejawów nienawiści. Myślę, że jest to charakterystyczne dla mentalności rosyjskiej. Przeciętny Rosjanin, zwłaszcza ten wiejski, ma bardzo pozytywny charakter w mojej ocenie. Są to ludzie, którzy są bardzo solidarni, bardzo chętnie pomagają /nie mówię tu o administracji, tylko o zwyczajnym Rosjaninie "z ulicy"/. Byli z pewnością nauczeni w tym systemie, że tam, gdzie jest nieszczęście, to należy je zwalczać - nie człowieka czy narodowość, tylko nieszczęście. Zdarzały się takie obrazki, że obrzucano kolumnę jeńców niemieckich krzykami czy wyzwiskami wówczas, gdy ich przywożono, bo przecież nawet w Kazachstanie nie było jednej rodziny, która by nie miała kogoś na wojnie, a wielu zginęło. Więc w końcu ta nienawiść istniała, ale nie przejawiała się bardzo drastycznie.

W grudniu 45r. intensywnie pracowaliśmy z p. Samborową i mnożą nad zgromadzeniem zapasów żywności na drogę do kraju. Już bowiem od jesieni krążyły pogłoski, że będziemy wracać do Polski. Nadzieje te powstały wtedy, gdy zaczęło działać ZPP. Koncentrowaliśmy się wtedy na dwojakim działaniu: na gromadzeniu dokumentów mających udowodnić, że się jest obywatelem polskim /w rozumieniu ówczesnych władz - było się obywatelem polskim/ oraz na organizowaniu i przygotowywaniu żywności. Tutaj Ciocia Huszka /p.Samborowa/ wykazała ogromny, prawidłowy instynkt. Mianowicie, ~~xxxiy~~ zorientowawszy się, co przychodzi w paczkach UNRA i pamiętając, w jakich warunkach jechaliśmy w tę stronę, zdecydowała, że najlepszym źródłem pożywienia będą suchary. I wszystkie nasze dochody /jej i moje/ zaw-

kowany do worków. Dzięki tej akcji wsiadalismy w końcu kwietnia 46r. do transportu z dużymi kilkoma workami sucharów. I to nas w czasie drogi ratowało. Suchary te służyły zresztą nie tylko nam, ale i sąsiadom z wagonu.

Przed wyjazdem mieliśmy jeden dokument - paszport matki, który zresztą trzeba było zwrócić, jak nas kwalifikowano do wyjazdu albo na granicy. Wyjechaliśmy na początku maja 46r. Pamiętam, że radosne wolne dni z okazji 1-go maja - pierwszego po zakończeniu wojny - spędzilismy jeszcze w Atbasarze, ale już w wagonach. Wyjechaliśmy więc 2-go lub 3-go maja. Nie wszyscy Polacy wtedy wyjechali. Napewno zostali ci, którzy wtedy siedzieli w więzieniach. Jeden z Polaków, który był w części Żydem został dobrowolnie. Było to pewnego rodzaju szokiem dla naszej Polonii. Był to zresztą człowiek, który otrzymał jakieś kierownicze, dość wysokie stanowisko w przedsiębiorstwie, w którym pracowałem. Możliwe, że był komunistą.

Zaczął się powrót. Ja osobiście przeżyłem wtedy coś dziwnego: przestałem być wtedy robotnikiem, przestałem zarabiać i wtedy wybuchły we mnie te wszystkie dotychczas tłumione odruchy mojego wieku, te wszystkie braki młodzieńczego czy dziecinnego dokazywania - wszystko to się wyzwoliło. Przejawiło się to tylko jako "wyszumienie się", a niestety nie jako chęć do czytania i pisania. Jeszcze w Kazachstanie p. Maria miała do mnie ogromne pretensje o to, że mimo nawiązanego kontaktu z rodziną w kraju - nie siadam do pióra, papieru i stołu, żeby wysłać jakiś list. Dopiero zmuszany do tego załatwiałem tę sprawę bardzo zdawkowo. Wtedy urodziło się określenie, że jestem "niepiśmienny". Wyzwolenie tych "braków" spotkało się z surową oceną zarówno cioci, jak i Anusi, chociaż uwagi były bardzo powściągliwe. Ja natomiast hulałem po całym transporcie. To było pełne odczucie nie tylko swobody, ale jakiejś sprawności fizycznej - skakałem w czasie jazdy z dachu jednego wagonu na drugi, a czasami w czasie ruszania pociągu pod wagonami. Kiedyś poszedłem z wiadrami po wodę i miałem przed sobą jeszcze 2 osoby do kranu, a parowóz zagwizdał i [illegible]

wodę przynieść. Nabrałem wodę i przeszedłem na tę stronę pociągu, już jadącego, gdzie były otwarte drzwi. Była to dziwna ekwilibrystyka z tymi dwoma naczyniami z wodą: skoczenie pod wagon pod kołami toczącego się pociągu, wyczekanie aż przyjedzie następny styk wagonów i w następnej luce wyskoczenie z pociągu, który już się rozpędzał. Byłem wtedy ubrany w koszulkę gimnastyczną, i ale za to w długie spodnie. Udało mi się wtedy wskoczyć na pomost ostatniego wagonu. A pociąg wtedy, jak na złość, długo się nie zatrzymywał; jechał, jechał, jechał bez końca, godzinami, a ja na tym ostatnim pomoście, z resztkami wody, skutecznie marzłem - był to dopiero początek maja. Wytrzymałem jakoś, wodę i dostałem się wreszcie do swego wagonu. Miałem wtedy straszną burę od [illegible], a cały wagon był na mnie ogromnie oburzony. Ja wtedy nie bardzo to rozumiałem, bo przecież chciałem przynieść wodę. Napewno było w tym trochę pozerstwa, chciałem się popisywać... W czasie podróży dokazywaliśmy z rówieśnikami ~~jeszcze~~ w ~~inny~~ różny sposób. Widocznie głęboko w nas siedziała zadra nienawiści, ~~/i jeszcze długo będzie siedziała chęć jakiegoś rewanżu/~~, a wtedy to było bardzo świeże. Postanowiliśmy, że będziemy robić takie drobne „sabotażyki": gdzieś tam podpaliliśmy las, w stojących obok pociągach z tzw. automatycznymi sprzęgami podnosiliśmy jedną dźwignię, co powodowało rozszczepianie się wagonów. Ciekawie było obserwować, jak ten pociąg ruszał i powoli rozszczepiał się na kawałki. Było sporo radości, ale powodowało to różne przykrości. Dziś wiadomo, że mogli to wówczas uznać za sabotaż i wrogą robotę. Zdarzało się więc, że od czasu do czasu gdzieś trzeba było zwiewać i chować się przed tymi, którzy szukali winowajców. Oczywiście podejrzewali pasażerów z ~~naszego~~ transportu - "bo panowie Poluczki jadą, więc napewno narobili szkody i zła".

Najtrudniejszym momentem był chyba wjazd na tereny przedwojennej Polski - na Białoruś. Nie pamiętam nazwy miejscowości, w której pociąg się zatrzymał, ale ktoś krzyknął, że jesteśmy w Polsce /dawnej/ że tu jest kościół i ksiądz. Wtedy nastąpił ogromny entuzjazm, widać [illegible] była [illegible] w człowieku nakło

nareszcie dotarło się do miejsca "swojskiego": jest kościół i ksiądz. Ksiądz, dowiedziawszy się, że przyjeżdża transport Polaków niezwłocznie otworzył kościół, było nabożeństwo. Były straszne płacze, spazmy - to się nie da opisać. Z ludzi wypływała nagromadzona przez te wszystkie lata gorycz, rozpacz. Te płacze, krzyki były niesłychanie chaotyczne, księdza nie było słychać, a jednocześnie to wszystko miało swój sens, porządek, i to musiało się tak odbyć. Troszkę tym ludziom ulżyło, nastąpiło odprężenie po zakończeniu tego strasznego etapu w życiu, ludzie wtedy autentycznie uwierzyli, że już są w Polsce. Ten pierwszy kontakt z kościołem to była duża rzecz. Zatrzymaliśmy się tam 2-3 godziny. Przez całą drogę wolno nam było zresztą wychodzić z wagonów, z wyjątkiem miejsc zastrzeżonych dla wszystkich z wyjątkiem kolejarzy. Można nawet było pójść do miasta. Nikt nie miał co prawda żadnego dokumentu, więc to też było niebezpieczne, ale nikt nas nie pilnował. Jedyną władzą w pociągu był kierownik czy też komisarz pociągu, który miał nasze dokumenty.

Drugim momentem dramatycznym w naszej podróży było przekroczenie granicy - przygotowanie do wjazdu do Polski. Dzisiaj oceniam, że to przygotowanie było głupie i nieprzemyślane - zabrakło nam śmiałości podjęcia pewnego ryzyka. Otóż ktoś puścił plotkę, że przed wjazdem do Polski będzie bardzo szczegółowa rewizja. Pamiętam, że nastąpiło wtedy darcie książek (takich, których już potem nigdy w życiu nie spotkałem) zabranych z Polski i przechowanych jakimś cudem przez cały czas. Sam darłem te książki, m.in. "Śpiewnik polski", w którym były przecudne dawne piosenki z okresu powstań, legionów itp. Te śpiewniki darłem skutecznie na kawałki i wyrzucałem porcjami z pociągu, żeby nikt tego nie znalazł. Baliśmy się, że w razie znalezienia takich patriotycznych tekstów będą wyciągnięte jakieś sankcje. I w ten sposób uległy zniszczeniu nie tylko książki, ale i listy, które są nie do odtworzenia.

Potem był przejazd przez most nad Bugiem. Pamiętam, że przynajmniej dwie osoby zasłabły w wagonie na serce - ze wzruszenia, że przekraczamy granicę, że już jesteśmy w Polsce - tej formalnej, oficjalnej, do której jechaliśmy.

82

A w tej Polsce to już można żyć pod gołym niebem, można głodować, można dziadować, aby tylko w niej być. Zresztą ja sam miałem takie przekonanie, że jest mi zupełnie obojętne, na jakie zewnętrzne warunki trafię, godziłem się dobrowolnie na głód i trudnosci. Były to decyzje pewno podświadome, bo przecież każdy z nas wiedział, co to jest kłucie w żołądku z głodu, jeden ziemniak czy łuski z kaszy jaglanej, jak smakują otręby itp., ale mimo to, pamiętając to na świeżo, każdy miał takie ~~przekonanie~~ odczucie, że jeśli to będzie w Polsce, to się na to godzimy - aby w Polsce. Zdawanie sobie sprawy, jaki tam jest ustrój, jaka rzeczywistość, było drugorzędnym problemem. Pierwszorzędnym - było znaleźć się w kraju. Każdy z nas był przekonany o tym, że gdyby nas np. cofnęli, gdyby nam nie pozwolili przejechać granicy, to byłoby to nie do zniesienia. Nikt sobie tego nie mógł wyobrazić. W pewnym momencie patrzenia z pociągu do takiej granicy wytrzymałości, że wydaje się, że ani kroku dalej. Dzisiaj wiem, że gdyby nas zmuszono jeszcze rok, jeszcze dwa, to pewno wytrzymalibyśmy, ale w tym momencie wydawało się, że jest absolutnie granica wytrzymałości. Wynikało to zapewne z przekonania, że to się kończy. Patriotyzm wygląda inaczej, jak się go ma na stole pod ręką, a inaczej, jeśli się jest daleko od kraju. To są inne patriotyzmy, inne paliwo jest dostarczane do organizmu.

W Polsce odłączyliśmy się od transportu w Skarżysku-Kamiennej. ~~Ojciec pojechał na Śląsk rowerem, a my~~ i pojechaliśmy do Gliwic. Tam była rodzina mojej matki, ~~i tam nas odebrano z pociągu.~~

Po powrocie do Polski przez długi czas nie chciałem zdjąć długich spodni i włożyć krótkich. Przestałem wierzyć "w krótkie spodnie", w to, że coś takiego można nosić.

VI t.

W Kazachstanie młodzież kilkunastoletnia nie nosiła krótkich spodni. Tylko dzieci biegały w skrawkach krótkich majtek. Długie spodnie były atrybutem dorosłości, czy też dochodzenia do niej. A ja się już czułem dorosły, nie chciałem wyjść z tych spodni - bez mała w nich spałem. - w tych brudnych, pewnie zawszonych spodniach, ~~zniszczonych po 20 dniach~~

 83

Później czas to jakoś przełamał, bo na początku wakacji już pokazałem kolana. Drugim elementem ubioru, z którym nie chciałem się rozstać był szynel żołnierski, który zdobyłem od jednego z żołnierzy rosyjskich wycofanych z działań bojowych. Z takich żołnierzy formowane były oddziały robocze - byli oni jeszcze nie demobilizowani, ale wysyłani w głąb kraju do pracy. Kiedyś spotkałem żołnierza mojego wzrostu - kumpla i od niego ten szynel dostałem. Bardzo pokochałem ten szynel. Babka i ciotka musiały użyć wielu perswazji, żeby to wszystko ze mnie zdjąć, odebrać i spalić.

Anusia [illegible] swoje przeżycia [illegible] moment [illegible]. Ciocia Musia kupiła dla niej [illegible] pantofle na trochę podwyższonym obcasie. Siostra chciała koniecznie cały czas w nich chodzić, bo czuła się w nich pewnie trochę doroślejsza. W pewnym momencie puchły jej jednak okropnie nogi, ale mimo to cały czas chodziła w tych pantoflach ze spuchniętymi nogami.

Po kontakcie z rodziną mojej matki nastąpiło jakby drugie odprężenie. Byliśmy wygłodzeni, organizmy mieliśmy wyjałowione. Jednym z artykułów, którego brak bardzo odczuwaliśmy był cukier. Ciotka moja miała cukier w dużych 3-4kg słojach i ja razem z Anusią dobieraliśmy się do tych słoików i jedliśmy cukier [illegible] łyżkami.

Ja się szybko zaadaptowałem do nowych warunków. Dopiero w rok później - w maju 47 r. - zachorowałem na malarię. Byliśmy już wtedy w Milanówku u wujostwa Myszkowskich. Stracili oni dwóch synów w Powstaniu Warszawskim i wzięli nas na wychowanie. Byliśmy dla nich całym ratunkiem, bo czuli się zupełnie rozbici po swoim nieszczęściu. ~~Moja choroba wywołała [illegible] w rodzinie.~~ Po wielu błędnych diagnozach i kuracjach stary lekarz pediatra stwierdził, że jest to malaria i przepisał chininę. Wyzdrowiałem, ale po tej kuracji chininowej do dziś mam kłopoty z wątrobą.

~~Z innych dolegliwości~~ Znacznie później odezwały się - i trwają do dziś - skutki odmrożeń (i u mnie i u Anusi) - rąk, twarzy i nóg. Ja miałem paskudnie odmrożone nogi /palce i całe stopy/, kiedy jeździłem na trak-

krwienie stóp i inne dolegliwości. Anusia po odmrożeniu nóg ma nie gojące się , bolesne, pęknięcia skóry.

Zostały też u nas pewne urazy psychiczne, u Anusi znacznie silniejsze. Podłożem tego były przeżycia w sierocińcu i wszystkie inne w Kazachstanie. Siostra była przy tym bardzo skryta, przy jednoczesnej wielkiej ofiarności. Do tej pory jest ona osobą cementującą rodzinę.

Moje urazy mają stały wpływ na mój stosunek do ludzi i do innych spraw. Np. mam wyczulenie na korzystanie z dóbr, które nie są moją własnością. Pamiętam, że w Milanówku nie mogłem znieść tego, żeby ktoś mi coś dawał, musiałem sobie sam ze wszystkim poradzić. Przypuszczam, że był to uraz, który pozostał po trudnym okresie w Kazachstanie, ~~[illegible] za życia mojej [illegible]~~ kiedy matka nie mogąc pracować była już bardzo chora na przepuklinę, chodziła do stołówki i zbierała dla nas niedojedzone resztki chleba. Ja strasznie się tego wtedy wstydziłem. Ona jednak musiała to robić, a myśmy jedli te resztki. I obecne moje reakcje są następstwem tamtych zdarzeń. ~~Nie potrafię do dnia dzisiejszego korzystać z czyjejś łaski, datku - moja psychika to odrzuca. W najgorszym razie czuję się wtedy zadłużony, muszę ten dług zwrócić, a czasem robię to wielokrotnie.~~

Poza tym został uraz do Polaków - po tym, jak nasi współmieszkańcy baraku rozdrapali mienie po naszej rodzinie. U mnie przerodziło się to w jakiś rodzaj rezerwy i braku zaufania do ludzi. Bardzo dużo czasu trzeba, żebym się do kogoś przekonał. Do końca zaufania nigdy nie mam. To oczywiście bardzo przeszkadza w codziennym życiu, w nawiązywaniu przyjaźni i człowiek czuje się przez to trochę samotny. ~~Po niej przekonałem się, że niemożna też mieć stuprocentowego zaufania do nikogo z przy.~~ Jedynymi bliskimi ludźmi, do jakich można, a nawet trzeba mieć zaufanie są osoby z rodziny: Siostra, żona... te związki muszą być całkowite i zaufanie pełne.

Trzecie, co mi zostało po tamtych przeżyciach, to chyba ~~surowszy~~ surowszy stosunek do siebie samego i do moich najbliższych niż do osób dalszych. ~~Nie wiem, czym to zostało wywołane... W każdym razie napewno~~

jestem surowszy dla syna niż dla kolegi syna. Może to wynika z wymagań: uznaję, że zarówno ja, jak i mój syn musimy być całkowicie w porządku do otoczenia. Nie może nastąpić żadne, absolutnie żadne uchybienie. U innych pewne rzeczy daje się tolerować.

Moja nieufność do ludzi przejawia się obecnie w formie nieufności do tego wszystkiego, co się dzieje. W Milanówku zacząłem działać w harcerstwie - typu "Szarych Szeregów" - sprzed OH. Wynikało to z chęci sprawdzenia siebie, ale też i z wiary, że coś się zmienie, że coś się buduje. Później, z biegiem czasu, następowały kolejne rozczarowania, kolejne błędy. Do rozgoryczenia, do nieufność, ten brak wiary zaczął się pogłębiać i do dziś trwa. Sprowadziło się to do uznania słuszności może dość brutalnej tezy, że "jak umiesz liczyć, to licz tylko na siebie" - aż do tego stopnia. Jest to bardzo smutne, a nawet złe. Czasem mam pretensję do syna o to, że on nie umie czegoś zrobić tak jak ja. Może procentuje tu fakt, że ja w czasie młodych lat, zamiast uczyć się z książek, opanowywałem tę dziwną sztukę lawirowania po to, żeby się jakoś utrzymać, żeby przeżyć. I ~~opanowałem~~ nauczyłem się tego. W tej chwili nie uznaję sytuacji, z której nie ma wyjścia. Jestem głęboko przekonany /może to jest zarozumiałość/, że w najgorszej sytuacji, która wymaga połączenia wysiłku manualnego z intelektualnym - poradzę sobie dać radę - żeby żyć. Z pomocą innych ludzi, ale w ograniczonym zakresie. Natomiast zupełnie się to nie przejawia w innych dziedzinach, np. w nauce języków obcych, historii, czy w dziedzinach, które nie są mi potrzebne do tego, żeby przeżyć czy przewegetować. Odruchowo wkładam największy wysiłek w to, żeby być sprawnym wegetacyjnie - opierając się wyłącznie na sobie. Być może jest to cecha nabyta po tamtych przeżyciach, może to jest wtórny egocentryzm (tu analogia z opowiadaniem J. Londona - strach przed głodem). Staram się utrzymać w sobie tę ~~ze~~ sprawność - żeby nie być bezradnym.

Nie lubię jednak korzystać z ludzkiej, nawet bezinteresownej życzliwości Nie znoszę np. pożyczać czegokolwiek od nikogo. W moim obecnym stosunku do ludzi, zwłaszcza w sytuacji, gdy mam skorzystać z czyjejś pomocy, najlepiej orientuje się żona, która wyczuwa co mogę, a czego nie.

A żona musiała włożyć dużo wysiłku w zrozumienie tego mojego "szyfru". Teoretycznie uznaję i wiem, że dawanie może dawać więcej satysfakcji temu który daje niż temu, który bierze. Ale często nie mam zaufania, czy zawsze to jest szczera satysfakcja. Ta nieufność jest wadą. Ale walczę z tym. Ktoś z rodziny powiedział, że Małachowscy bardzo późno dorastają.....

Relacja nagrana jesienią 1988r. przez Małgorzatę M. Grzejewską